

Anne Eames

Najlepsze święta

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jenny Moon prawie każdego dnia zastanawiała się, dlaczego wyjechała z Montany i z rancza Malone'ów. Ponad półtora roku temu wróciła do Detroit, opuszczając nie tylko swoją przyjaciółkę, Savannę, ale także góry, strumienie i pola, które tak pokochała. I nic nie pomagało wmawianie sobie, że tak naprawdę nie ma za czym ani za kim tęsknić.

A już szczególnie za mężczyzną tak ponurym jak Shane Malone.

Owszem, może trochę ją zainteresował, ale tylko fizycznie. Po powrocie do pracy szybko o nim zapomniała.

Ale teraz, stojąc na lotnisku w Billings, Jenny skłonna była przyznać, że być może wyjechała z Montany nie tyle z powodu chęci powrotu do pracy, lecz raczej w panicznej obawie przed czymś nie nazwanym, co w jakiś sposób miało związek z Shane'em...

Na tę niedorzeczną myśl aż potrząsnęła głową. Nie, Shane Malone nie ma tu nic do rzeczy. To po prostu zbliżające się wakacje wprawiają ją w taki melancholijny nastrój.

Wraca tam, by znów spędzić trochę czasu z Savanną, i tyle. Gdzieś w podświadomości usłyszała jednak słowo „kłamczucha”, a na wspomnienie czekającego na nią mężczyzny serce zaczęło jej szybciej bić.

Po odprawie wyszła do hali przylotów. Od razu zauważyła Shane'a, opartego o kolumnę w taki sam sposób, jak wówczas, gdy ujrzała go po raz pierwszy. I tak jak wtedy patrzył na nią spod ronda kowbojskiego kapelusza. Nie ruszył się z miejsca, lecz czekał, aż Jenny do niego podejdzie, co od razu ją rozzłościło.

Zarzuciła torbę na ramię i z głębokim, pełnym rezygnacji westchnieniem ruszyła w jego kierunku.

- Niezbyt się spieszyłaś - mruknął, nie zmieniając pozycji. Jenny rzuciła torbę u jego stóp i wsparła się pod boki.

- Nie ma bezpośredniego lotu. Musiałam przesiąść się w Minneapolis i...

- Miałem na myśli powrót. - Shane wziął torbę i ruszył ku wyjściu.

Jenny przez kilka sekund przyglądała się smukłej sylwetce oddalającego się mężczyzny, a potem pospieszyła za nim, starając się nie stracić go z oczu.

- Nigdy nie obiecywałam, że wrócę.

Shane spojrzał na nią z ukosa i bez słowa dołączył do grupy pasażerów oczekujących na odbiór bagażu. Jenny poczuła się tak, jakby w ogóle stąd nie wyjeżdżała. Ten facet samym tylko spojrzeniem już czegoś od niej żąda. Ale nie ma mowy, by to dostał - czymkolwiek to jest. To ona będzie kontrolowała sytuację, nie on.

- Savanna z tobą nie przyjechała?

- Niezbyt dobrze się czuje.

- Co jej jest? - Tak mocno szarpnęła go za koszulę, że Shane musiał przystanąć.

Opuściła dłoń dopiero wtedy, kiedy z niechęcią spojrzał na jej rękę.

- Jest w ciąży.

- To wiem. - Zupełnie zapomniała, że Shane nie należy do ludzi rozmownych. Jego zgryźliwa mrukliwość zaczynała jej działać na nerwy. - I tylko to?

- A nie wystarczy?

Jenny zauważyła na taśmie swoją walizkę i chciała ją zdjąć, Shane jednak był szybszy.

- To cały twój bagaż? - spytał.

- Tak.

- Przeprowadzę auto - oznajmił i nie czekając na odpowiedź, ruszył ku wyjściu.

Jenny, coraz bardziej wściekła, podążyła za nim. Sama może ponieść walizkę, do samochodu też jakoś dojdzie. Kiedy

jednak pierwszy podmuch arktycznego powietrza przewiał na wylot jej cienką kurtkę, cofnęła się do środka.

Dobrze, poczeka tu na Shane'a.

Nie miała zamiaru pozwolić, by ten cholerny kowboj zepsuł jej wakacje. Mowy nie ma! Podczas kilkutygodniowego urlopu będzie dość czasu, by nacieszyć się Savanną i pomóc jej w przygotowaniach na przyjście dziecka na świat. Może nawet uda im się wyrwać do miasta na świąteczne zakupy. Przez szklane drzwi spojrzała na pryzmy odgarniętego śniegu. Były wysokie na co najmniej trzy metry. A zatem trzeba będzie urządzić bitwę na śnieżki i konkurs na największego bałwana.

Z zadumy wyrwał ją donośny dźwięk klaksonu. Zza kierownicy potężnego dzipa uśmiechał się Shane.

- A niech cię - mruknęła pod nosem i, mimo przejmującego zimna, wolnym krokiem podeszła do auta.

Gorzej być nie mogło. Przy takiej pogodzie droga na ranczo potrwa co najmniej dwie godziny. Tylko tego brakowało. Sam na sam z milczącym wielbicielem Indian. Siadając wygodnie w fotelu, skrzyżowała ręce na piersi i odezwała się, wlepiając wzrok w przednią szybę:

- Więc... nadal mieszkasz w chatce przy stajniach z tym starym Indianinem?

Spojrzał na nią z ukosa.

- A ty nadal jesteś zagorzałą przeciwniczką wszystkich czerwonoskórych?

No dobra, skoro tak, to posłucha sobie radia i zupełnie zignoruje Shane'a. Przecież wszyscy na ranczu znali jej zdanie na ten temat. Ojciec Jenny, Indianin z plemienia Kruków, porzucił pewnego dnia swoją młodą żonę i jeszcze nie narodzoną córeczkę. Odtąd dziewczyna, która nigdy nie poznała ojca, darzyła żywiołową niechęcią wszystkich przedstawicieli rasy czerwonej.

Nacisnęła klawisz i... pierwsza stacja, jaką złapała, nadawała jakieś indiańskie rytmy. Jenny jęknęła w duchu i jeszcze przez chwilę próbowała znaleźć coś innego. Niestety, wszyscy jakby się zmówili i nadawali country.

- Do jasnej cholery! - mruknęła przez zęby i wyłączyła radio.

Za szybą ujrzała blask księżyca odbijający się srebrną poświatą od śniegu. Od czasu do czasu mijali domy otoczone udekorowanymi i oświetlonymi choinkami. Był to widok zupełnie niepodobny do tego, który Jenny zapamiętała z poprzedniej, letniej wizyty, lecz równie piękny. Musiała przyznać, że bardzo tęskniła za tym miejscem i życiem na ranczu.

Spojrzała znów na Shane'a. Ciekawe, co porabiał od jej wyjazdu. Może znalazł sobie kogoś...

Aż skarciła się w duchu za takie myśli. A co to za różnica?

Wkrótce znów będzie z powrotem w Michigan i zapomni o tym ponuraku.

Cisza panująca w aucie stawała się coraz bardziej męcząca.

- Nadal gotujesz? - ni z tego, ni z owego spytał Shane.

- A bo co... - zaczęła, lecz szybko się zreflektowała.

Może nadeszła pora, by zmienić swój stosunek do tego faceta, a przede wszystkim zacząć mówić innym tonem. Uprzejma rozmowa jeszcze nikomu nie zaszkodziła, a czas szybciej upłynie. - Owszem, nadal gotuję, a ostatnio zajęłam się ziołami. Można je wspaniale wykorzystać w kuchni, ale zainteresowały mnie również ich właściwości lecznicze.

- Hm.

- Na przykład: czy wiesz, że jeśli potrzęsiesz czosnkiem skórę ukąszoną przez komara, to natychmiast przestanie swędzieć?

- Tak. Ale jeśli przesadzisz, to zapach czosnku będzie wyczuwalny w twoim oddechu.

- A ty skąd o tym wiesz?

- Od Kruka. Amerykańscy Indianie zawsze korzystali z darów natury. Jeśli naprawdę interesują cię zioła, to nasz Kruk może cię bardzo dużo nauczyć.

Akurat! Jeszcze tego brakowało.

Czemu w ich rozmowach zawsze powracał temat Indian? Można by pomyśleć, że również w żyłach Shane'a płynie krew rdzennych mieszkańców tej ziemi!

Jenny przyjrzała mu się uważnie. Jego włosy były prawie czarne. Miał też wystające kości policzkowe i ostre, wyraziste rysy. Czyżby przebywając stale ze starym Indianinem, zaczął się do niego upodabniać?

Wszystko jedno! Skoro był takim miłośnikiem Indian, jego sprawa, ale może lepiej zrozumiałby Jenny, gdyby przeżył w dzieciństwie to samo co ona. Ale jego ojcem jest Max Malone - zamożny lekarz i ranczer. I w dodatku bardzo porządny człowiek.

Rozumiała ją tylko matka. Lecz jej już nie ma na tym świecie.

Upływ czasu nieco stępił dojmujący ból, ale wraz ze zbliżającymi się świętami powróciło uczucie pustki.

To dlatego Jenny wróciła do Montany. Gdyby została w domu, byłoby to jej pierwsze samotne Boże Narodzenie. Zawsze spędzała je z matką, a przez ostatnie dwanaście lat także z Savanną. Jenny cieszyła się ze szczęścia przyjaciółki, która wyszła za mąż za brata Shane'a, jednak odczuwała dotkliwy brak jakiejś bratniej duszy, której mogłaby się zwierzyć z najskrytszych tajemnic.

- Przy takiej pogodzie nie da się jechać szybciej. Jeśli masz ochotę, zdrzemnij się. Obudzę cię, jak dojedziemy, - zaproponował Shane.

- Dobry pomysł.

Opuściła oparcie fotela, wygodnie się ułożyła, zamknęła oczy i próbowała zasnąć. Jednak bliskość Shane'a nie pozwalała jej oddać się sennym marzeniom.

Może ten przyjazd jest błędem i pomyłką. Boże Narodzenie to czas miłości i nadziei. Ludzie są dla siebie życzliwsi i łatwiej ulegają wzruszeniu. Czy uda jej się zachować zimną krew, jeśli przez kilka tygodni Shane będzie tuż obok, dosłownie na wyciągnięcie ręki? I czy naprawdę na tym właśnie jej zależy?

Zachowywał się wstrętne i zdawał sobie z tego sprawę. Dlaczego Jenny tak bardzo załazła mu za skórę? Chętnie złożyłby wszystko na karb jej stosunku do Indian, ale wiedział, że chodzi o coś więcej.

Spojrzał na jej opięte dżinsami uda i aż zgrzytnął zębami. Pociąg fizyczny, który od chwili poznania odczuwał do tej dziewczyny, znów powrócił, i to ze zdwojoną siłą. Zmusił się do patrzenia na szosę, lecz wciąż miał przed oczyma ich wspólne konne przejażdżki. I przede wszystkim spęd, kiedy to przez trzy wieczory wpatrywał się w ogień, odbity w brązowych oczach panny Moon. Nie potrafił zapomnieć o jej cichym, równym oddechu, kiedy, zwinięta w kłębek, spała w śpiworze, o jej zmysłowym głosie, kiedy żartowała ze wszystkimi przy śniadaniu.

Nie, to bez sensu, mruknął pod nosem i mocno zacisnął ręce na kierownicy. Tak jak poprzednio, Jenny wkrótce wyjedzie. Głupotą byłoby wiązanie z nią jakichkolwiek nadziei. Poprzednim razem przestał się kontrolować i jak się to skończyło?

Samotnością i frustracją.

Wierzył, że jakoś uda mu się trzymać od niej z daleka. Powinien przede wszystkim pamiętać o jej stosunku do Kruka.

Dlaczego? Dlaczego tak zaciekle nienawidziła wszystkich Indian?

Nagle wyobraził sobie ich oboje siedzących przed ubraną choinką, szepczących sobie na ucho czułe słówka...

Nie! To idiotyczny pomysł!

Intymna rozmowa z Jenny Moon jest ostatnią rzeczą, jakiej mu potrzeba.

A czego właściwie pragnął? Rodziny, jaką jego młodszy brat, Ryder, stworzył z Savannah i Billym, jakiejś dobrej i czulej kobiety, którą nie tylko z powodu tradycji mógłby całować pod jemiolą.

Mijał kolejne ranczo z rozświetloną choinką i serce ścisnęło mu się z żalu. Może to wszystko wina zbliżających się świąt, niemniej po raz pierwszy od trzydziestu trzech lat poczuł się bardzo samotny. Przestały mu wystarczać: praca na ranczu, przyjaźń Kruka, miłość ojca i braci.

Ostry powiew wiatru dmuchnął śniegiem w przednią szybę dżipa i Shane delikatnie nacisnął hamulec.

- Lepiej usiądź i zapnij pas.

Jenny natychmiast posłuchała rozkazu. Kiedy kolejna fala śniegu szczelnie oblepiła szybę, hamulce zdały się na nic. Auto zatoczyło pełen obrót i z głuchym łoskotem zaryło maską w zaspę na poboczu.

- Nic ci się nie stało? - spytał Shane, widząc, że Jenny z szeroko otwartymi oczami siedzi nieruchomo i wpatruje się przed siebie.

- Czy jesteś tak marnym kierowcą, czy też chciałeś mnie przestraszyć?

Shane odetchnął z ulgą i uśmiechnął się.

- Jesteś złośliwa, jak zwykle. Cieszę się, bo to znaczy, że nic ci nie jest.

- Nie bądź taki dowcipny. Raczej zastanów się, jak stąd wyjechać - mruknęła.

Choć nadrabiała miną, wyczuł, że się boi. Odruchowo, choć bardzo lekkomyślnie nachylił się i ujął Jenny za ramiona.

- Nie zaprzataj swej pięknej główki takimi głupstwami - szepnął. - Radziłem sobie w dużo trudniejszych sytuacjach i...

Jenny szarpnęła się i odepchnęła jego rękę.

- Co ty sobie myślisz?

- Chciałem cię tylko uspokoić. - Widząc złość w jej spojrzeniu, wpadł w gniew. Dobrze, a więc koniec z delikatnością. - Czyżbyś spodziewała się czegoś więcej? - W ostatniej chwili chwycił ją za rękę i w ten sposób uniknął siarczystego policzka.

- Ty przemądrzały kowboju!

Shane w geście poddania uniósł do góry rękę. Usiadł wygodniej na fotelu, lecz nie spuszczał Jenny z oka. Zauważył, że choć dziewczyna nadrabia miną, dosłownie dygocze z zimna.

- Z tyłu leży koc - rzekł, a kiedy nie zareagowała, sam jej go podał. Potem sięgnął pod siedzenie i wyjął telefon komórkowy.

- Umiesz się czymś takim posługiwać? - spytała z ironią. Powstrzymał się od równie ironicznej odpowiedzi, jaka cisnęła mu się na usta. Spokojnie wystukał numer rancza. Po chwili usłyszał głos Rydera.

- Cześć, braciszku. Obudziłem cię?

- Chyba żartujesz. Savanna nie położy się, dopóki nie przywieziesz Jenny. Jesteście już blisko?

- Niezupełnie. Droga jest coraz gorsza i... Tak szczerze mówiąc, to się zakopaliśmy.

- Powiedz mi dokładnie, gdzie jesteście. Zaraz po was wyjadę.

- Nie, nie trzeba. Mam w bagażniku łopatę i piasek. Uporam się ze wszystkim, zanim tu dotrzesz. Chciałem cię tylko uprzedzić, że trochę się spóźnimy.

Po drugiej stronie zapanowała cisza i Shane doszedł do wniosku, że połączenie zostało przerwane.

- Savanna ciągnie mnie za rękaw - odezwał się w końcu Ryder. - Chce pogadać z Jenny.

- Do ciebie. - Shane podał telefon Jenny.

- Halo?

- Jenny! Nic ci nie jest?

- Nie, wszystko w porządku, mała. Tylko Shane wpakował nas w zaspę. Wiesz, facet za kółkiem to...

Shane, nerwowo stukając palcami w kierownicę, przez moment przysłuchiwał się tej rozmowie. W końcu jednak uznał, że pora wziąć się do roboty. Wsiadł i by ocenić sytuację, najpierw obejrzał przód, a potem tył auta. Przednie koła zakopane były w śniegu, ale tył był wolny. Shane uznał, że bez problemu da sobie radę.

Kiedy otworzył bagażnik, usłyszał, że Jenny nadal rozmawia.

- Nie marnuj baterii! - zawołał. - Może nam być jeszcze potrzebna.

Jenny nawet się nie odwróciła, ale wyraźnie zaczęła się streszczać.

- Jak będą jakieś problemy, na pewno zadzwonimy. Obiecuję. Ale ty natychmiast się kładź. Dobrze. Przyjdź do mnie rano, do sypialni, jak tylko się obudzisz.

Zamilkła i Shane myślał już, że skończyła rozmowę.

- Ja też cię kocham, Savanno - usłyszał po chwili szept. - Do zobaczenia rano.

Wyciągnął z bagażnika szpadel oraz worek z piaskiem i natychmiast zabrał się do pracy. W uszach wciąż dźwięczały mu słowa Savanny:

„Przyjdź do mnie rano, do sypialni...”.

On też chciałby od niej coś takiego usłyszeć. Nie, to przecież idiotyczne.

Niepokoilo go cos jeszcze. Czemu Jenny z takim zawstydzieniem przyznaje sie do swoich uczuc? Nawet wobec przyjaciolki?

Od dawna przeczuwal, ze Jenny Moon tylko udaje twarda i niezalezna, a pod jej stalowym pancierzem kryje sie czule, wzraliwe serce.

Choc zdawal sobie sprawe, jakie to moze byc niebezpieczne, postanowil owe domysly sprawdzic na wlasnej skorzce, nim Jenny znow ucieknie z Montany.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Aua! - Jenny z piskiem cofnęła rękę z brzucha Savanny.
- To cię nie boli?

- Nie - zaśmiała się Savanna. - Nie boli, ale coraz trudniej mi znaleźć wygodną pozycję.

Jenny wpatrywała się w wędrującą pod skórą brzucha przyjaciółki gułę.

- Co to właściwie jest?

- Chyba kolano albo stopa, bo na głowę czy pupę trochę za małe.

Jenny wzdrygnęła się i wsunęła głębiej pod kołdrę.

- Przypomina mi to jakiś film science fiction... o stworzeniu z innego świata, które zamieszkuje w ciele bohaterki.

Savanna ułożyła się wygodnie na plecach i zaczęła delikatnie gładzić swój ogromny brzuch.

- Zobaczysz, jak na ciebie przyjdzie kolej. Wcale nie będziesz miała takiego wrażenia. Uwielbiam czuć, jak mała się rusza, to...

- Mała? Jesteś pewna?

- Mogliśmy zapytać o płeć dziecka, kiedy robiono mi USG, ale wolimy, żeby to była niespodzianka. Przeczuwam tylko, że to dziewczynka. Będę się cieszyć i z synka, ale ze względu na Billy'ego...

- No tak, rozumiem. Jak on się miewa? I co myśli o dziecku?

- Zeszłego lata nieźle napędził nam strachu. Kiedy powiedzieliśmy mu, że spodziewam się dziecka, przyjął to na pozór spokojnie. No, może był trochę zaskoczony. Ale następnego dnia nie mogliśmy go nigdzie znaleźć.

- Uciekł?

- Niezupełnie. Znaleźliśmy go zwiniętego w kłębek na grobie Maddy. W tej całej naszej radości zapomnieliśmy, że to

rocznica jej śmierci. To pewnie trochę potrwa, ale mam nadzieję, że z czasem wszystko się ułoży. Chłopiec zrozumie, że wciąż tak samo go kochamy. Mimo to łatwiej by było, gdyby urodziła się dziewczynka. Billy i Ryder mają ze sobą taki cudowny kontakt. Czasami zapominam, że Ryder nie jest jego prawdziwym ojcem.

Na twarzy Savanny pojawił się spokojny, pełen zadowolenia uśmiech. Jenny odwróciła wzrok. Cieszyła się, że przyjaciółka znalazła w końcu swoje szczęście - miała ukochanego męża, adoptowanego syna, oczekiwała na własne dziecko, miała rodzinę, która otaczała ją miłością i troską. Owszem, cieszyła się, ale... Tak, była też zazdrosna, bo tym dobitniej uświadamiała sobie, jak puste i samotne jest jej życie.

- ...więc zostawiliśmy go w tej studni, żeby sobie... - Savanna nagle przerwała opowieść.

- Mhm...

- Szanowna pani, przecież pani mnie w ogóle nie słucha. Nagle ktoś mocno zastukał do drzwi.

- Obsługa hotelowa. Można?

- To Shane - szepnęła Jenny, gwałtownie poprawiając włosy.

- Wiem - mruknęła Savanna. - Wyglądasz super - dodała uspokajająco. - Prosimy!

Dźwigając ogromną, ciężką tacą, Shane łokciem otworzył drzwi.

- To od Hanny. Kazała mi jednak powiedzieć, żebyście się za bardzo nie przyzwyczajały. Czeka was mnóstwo roboty.

- Postawił tacę na łóżku i chciał odejść, ale powstrzymała go Savanna.

- Przyłączysz się do nas? - spytała. - Starczy tego dla pułku wojska.

- Nie będę wam przeszkadzał w waszych babskich ploteczkach. - Shane uśmiechnął się i zostawił je same.

Jenny usiadła po turecku i, nie komentując wizyty Shane'a z zachwytem przyglądała się zawartości tacy.

- Popatrz na to! Ale pyszności... Gorące naleśniki z konfiturą truskawkową. Ta Hanna to skarb. Jak tylko zjem, pobiegnę ją ucałować.

- Mnie nie nabierzesz, maleńka - powiedziała Savanna, częstując się naleśnikiem. - Już w zeszłym roku widziałam, jak patrzysz na Shane'a. Nie powiesz mi, że ci się nie podoba.

Jenny znów popadła w zadumę. Przez moment marzyła, by poczuć dotyk szorstkiej skóry Shane'a na swoim policzku. Szybko jednak odepchnęła od siebie te myśli i wypila łyk kawy. Dopiero wtedy odważyła się spojrzeć na przyjaciółkę.

- Wiem, że masz dobre chęci, słonko, ale nie wyobrażaj sobie powtórek z rozrywki. Ty i Ryder to zupełnie co innego. Shane i ja w ogóle do siebie nie pasujemy - tłumaczyła, wymachując widelcem. - Nic z tego nie będzie. Przyjechałam tu, żeby spędzić święta z przyjaciółką, a potem wracam do Michigan, tam gdzie moje miejsce.

Bo przecież tak jest, prawda? Michigan zawsze było jej domem. Ale kiedy ostatni raz była tam szczęśliwa? Szczególnie od śmierci matki i przeprowadzki Savanny do tego raju. Choć wielu uznałoby tę okolicę za zapomnianą przez Boga i ludzi, Jenny pokochała tutejszą dziewczęcą przyrodę.

- Hej, hej, jesteś tu? - wyrwała ją z rozmyślań Savanna.

- Jestem, jestem. Wszystko w porządku.

- Już wcześniej chciałam cię o coś zapytać. Jak ci się udaje wygospodarować tyle wolnego czasu? Przecież na pewno macie mnóstwo zamówień...

- Owszem, ale w okresie letnim zatrudniamy sporo studentów. Zresztą często pracuję po godzinach, a od mojej

poprzedniej wizyty w Montanie nie miałam ani dnia wolnego. Szef nie był, co prawda, zachwycony, ale postawiłam na swoim.

- Tak mi przykro, że nie przyjechałam na pogrzeb twojej mamy, ale lekarz uznał, że nie powinnam ryzykować podróży samolotem.

- Rozumiem. Nie ma sprawy. - Jenny pogłaskała przyjaciółkę po ręce.

- Na pewno bardzo ci jej brakuje.

Czy na pewno? Tak, czasami. Przede wszystkim jednak Jenny odczuła ulgę.

- Wiesz, jak była zgorzkniała. Przez całe życie pielęgnowała w sobie nienawiść do ojca. Nigdy mu nie wybaczyła, że nas zostawił. Szkoda, że nie umiała być szczęśliwa

Jenny zamilkła, czując, jak załamuje jej się głos. Savanna знаła przecież całą tę historię. Jej niczego nie trzeba było tłumaczyć. Dlatego zatem Jenny tak spieszno było do wakacji w Montanie - chciała trochę pobyc z przyjaciółką, która znała ją jak nikt na świecie, rozumiała wszystkie jej troski i naprawdę się o nią troszczyła. Kiedy do oczu napłynęły jej łzy, z ulgą powitała cichutkie pukanie do drzwi.

- To ja, Billy. Mogę wejść?

- Oczywiście! - zawołała z radością Jenny. - Wchodź, niech cię uściskam.

Rozpromieniony chłopiec rzucił jej się w ramiona.

- Ach, jak się cieszę, że wróciłaś!

- Ja też się cieszę. - Jenny odsunęła go na odległość ramienia i przyjrzała mu się uważnie. - Od mojej ostatniej wizyty urosłeś co najmniej dwadzieścia centymetrów, młody człowieku. No i te zęby... Ty na pewno nie będziesz potrzebował żadnego aparatu.

Dumny z siebie chłopiec przysiadł na łóżku.

- Billy? Czy ty przypadkiem znów nie spóźniłeś się na autobus? - zaniepokoiła się Savanna.

- Nic podobnego. W szkole nawalił piec, więc mamy już ferie. Super, nie?

- Chciałeś powiedzieć: „To wspaniale, prawda?” - poprawiła go Savanna.

- Skąd wiesz? - Mały był wyraźnie zadowolony ze swego dowcipu. - Muszę pomóc tacie odgarniać śnieg. - Z młodzieńczym entuzjazmem zerwał się z łóżka i pobiegł ku drzwiom. - Ulepisz potem ze mną bałwana, Jenny?

- Masz to jak w banku.

- Często wspomina Maddy? - spytała Jenny, kiedy zostały same.

- Modli się za nią co wieczór, ale poza tym właściwie o niej nie mówi.

- Biedne dziecko.

- Czasami Ryder zabiera go do Purpurowego Pałacu na obiad. Wciąż pracują tam te same dziewczyny, bo Maddy zastrzegła to w testamencie. Billy je wszystkie bardzo lubi, a one go wprost uwielbiają, ale ten chłopak jest zbyt poważny jak na swój wiek. Dobrze wie, czym zajmują się rezydentki Purpurowego Pałacu, więc staramy się ograniczać te wizyty.

Savanna spojrzała na swój brzuch i czule go pogłaskała.

- Choć bezustannie zapewniamy chłopca, że teraz tu jest jego dom i wszyscy go kochamy, on podświadomie boi się, że narodziny dziecka mogą to zmienić. Billy nie widzi świata poza Ryderem i nie chce się nim z kimkolwiek dzielić. Obawiam się, że ta sytuacja trochę go przerasta.

- Z czasem Billy na pewno się przekona, że jego pozycja w rodzinie nie jest zagrożona. A jego obawy są w pełni zrozumiałe.

- Chyba masz rację - westchnęła Savanna, kiwając głową.

Shane zajrzał do stajni, by sprawdzić, jak czuje się chory żreback, potem ogolił się, a teraz gwarzył z Hanną, oszukując samego siebie, że robi to ot, tak sobie, a nie dlatego, iż ma nadzieję spotkać przyjaciółkę bratowej.

- Jeśli kręcisz się tu z powodu tego chleba, to i tak będziesz musiał poczekać, aż ostygnie - powiedziała Hanna, wyjmując z pieca gorący bochenek. - Chyba że jesteś tu z zupełnie innej przyczyny - dodała, ujmując się pod boki.

Szybkie kroki na schodach i pojawienie się dwóch młodych kobiet ocaliły go od rozmowy ze zbyt domyślną gospodynią.

Jenny odstawiała tacę na blat i rzuciła się w ramiona Hanny.

- Na miłość boską, dziewczyno! Przecież prawie nic z ciebie nie zostało. - Starsza pani przytuliła ją mocno do siebie. - Jak ty to robisz, że tak dobrze gotujesz i wciąż jesteś taka chuda. Popatrz tylko na mnie! Od razu widać, że lubię sobie podjąć, co? Cieszę się, że w tym roku razem będziemy szykować indyka na Święto Dziękczynienia.

- Ja też. Od czego mam zacząć?

- O nie, moja droga. Nigdy nie rozpoczynam przygotowań we wtorek. Dziś masz więc jeszcze wolne, ale od jutra bierzemy się do roboty.

- Gdybyś chciała przejechać się na którymś z naszych koni, to ja akurat nie mam nic do roboty - zdobył się na odwagę Shane, o którym kobiety zdawały się zapomnieć.

Savanna mrugnęła zachęcająco, a Jenny przez chwilę udawała, że się zastanawia.

- A nie przymarznę do siodła? - spytała w końcu. - Nie wzięłam odpowiedniego ubrania.

- Pożyczę ci coś - zaproponowała szybko Savanna. - Ależ wam zazdroszczę. Bawcie się dobrze! - zawołała już z holu.

Shane z niezwykłym zainteresowaniem wpatrywał się w podłogę;

- Jeżeli nie masz ochoty... - wyjąkał w końcu.

- Kto mówi, że nie mam?

Na twarzy Jenny nie było nawet cienia uśmiechu.

- A więc czekam na ciebie w stajni. Kiedy będziesz gotowa?

- Daj mi dziesięć minut - odparła Jenny i nie oglądając się za siebie, poszła na górę.

Czy ta kobieta zawsze będzie taka zimna? Czy w ogóle warto się nią interesować? zastanawiał się z nietęgą miną Shane.

- Wszystko będzie dobrze, synu. Nie daj się zwieść tym ponurym minom - wyrwała go ze smutnej zadumy Hanna.

Zaskoczony tą uwagą, zamarł z ręką na kłamce. Wiedział, że nikt nie zna go tak dobrze jak stara gospodyni, teraz z nadmierną gorliwością wyrabiająca ciasto.

- Nie licz na to, że zapomniałem o świeżym chlebie - próbował żartem pokryć zmieszanie.

- Dobra, dobra.

Przed dom zajechali Ryder z Billym. Chłopiec błyskawicznie wyskoczył z auta.

- Super, wujku, prawda? - wykrzyknął podniecony.

- Co takiego, mały?

- No, wiesz... że Jenny wróciła.

- Tak, owszem - przyznał, starając się nadać swemu głosowi spokojne brzmienie. - Skończyliście odśnieżać?

Ryder kazał zmarzniętemu chłopcu natychmiast wejść do domu.

- Josh załatwił kilku chłopaków ze wsi i zanim tam dotarliśmy, nie było już dla nas roboty - wyjaśnił bratu.

- Jak nasz braciszek sobie radzi?

- Ścianki działowe już gotowe, okiennice wstawione. Jest nawet łóżko i dobrze zaopatrzona lodówka. Wygląda na to, że nasz zuch nieprędko nas odwiedzi.

- Ponieważ świąteczny obiad szykuje Jenny, więc na pewno się pojawi - zaśmiał się Shane i ruszył w stronę stajni.

- A, właśnie... skoro o niej mowa - zaczął Ryder, idąc za bratem.

Shane już miał powiedzieć, że jak na jeden dzień dość ma swatania, kiedy w progu stanęła Jenny.

- Nie musisz już odpowiadać - mruknął Ryder. - Bawcie się dobrze. .

- Ryder! - Jane rzuciła mu się w ramiona. - Jak miło cię znów widzieć.

- Wzajemnie, maleńka. Moja żona już nie mogła się ciębie doczekać.

- Ja też.

- Żegnam was, bo obiecałem pomóc Billy'emu w lekcjach. - Ryder mrugnął jeszcze do Shane'a i zamknął za sobą drzwi.

Unikając spojrzenia Jenny, Shane zabrał się do szykowania uprzęży.

- Jak się masz? - Jenny od razu podeszła do znajomego kasztana. - Pamiętasz mnie?

Koń powitał ją cichutkim rzeniem. Najwyraźniej czuł się w jej obecności zupełnie swobodnie... w odróżnieniu od swojego właściciela.

- Jesteś gotowa? - spytał Shane.

- A nie wyglądam na gotową? - zapytała ze śmiechem dziewczyna.

Dopiero na dworze, kiedy oboje siedzieli już na koniach, odważył się na nią spojrzeć.

- Na pewno dasz sobie radę? - spytał. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie wiem. To się dopiero okaże.

Shane wiedział, że Jenny wcale nie ma na myśli przejażdżki. Bez słowa ściągnął cugle i ruszył przed siebie.

Przystanęli dopiero po półgodzinie, na szczycie jakiegoś pagórka. Jenny z zachwytem wpatrywała się w białą, bezkresną dal. Kiedy jej koń spuścił łeb i głośno prychnął, wzbijając przy tym w powietrze fontannę śniegu, wybuchnęła śmiechem.

- O, tak dużo lepiej - skomentował Shane.

Wiedziała, o co mu chodzi. Od samego przyjazdu była wobec niego szorstka i nieprzyjemna. Dlaczego tak się zachowywała? By trzymać go na dystans? To można załatwić o wiele prościej i uprzejmiej. Dzień jest taki piękny, że grzechem byłoby psuć miły nastrój. A zresztą, co w takich eskimoskich strojach mogło jej grozić ze strony Shane'a?

Pogładziła konia po karku i uśmiechnęła się. W białej, bezkresnej przestrzeni czuła się naprawdę szczęśliwa. A obecność Shane'a wcale jej nie przeszkadzała.

- Nie jest ci zimno? - spytał nagle, nachylając się bardzo blisko jej twarzy.

Nawet jeśli jeszcze przed chwilą czuła ziąb, to teraz na pewno nie, tym bardziej że Shane zaczął odwijać jej szalik.

- Co robisz? - wyjąkała.

Kiedy jego wzrok na moment spoczął na jej wargach, machinalnie je oblizawał. I zrobiło jej się jeszcze bardziej gorąco.

- Nie jesteś przyzwyczajona do takiej pogody, a odmrożenie to paskudna rzecz. Czy nie uważasz, że na czas twego pobytu moglibyśmy ogłosić rozejm? - spytał, patrząc jej prosto w oczy.

- Nie wiedziałam, że ze sobą walczymy - mruknęła, ale widząc rozczarowanie w jego oczach, chwyciła go za rękaw. - No dobrze. Rozejm.

Shane przyjął jej słowa z wyraźną ulgą.

- Chcesz zobaczyć chatę Josha? - spytał. - To jakieś piętnaście minut drogi stąd.

- Chętnie.

Zamarła, kiedy znów się ku niej nachylił. Była pewna, że zaraz ją pocałuje. On jednak tylko naciągnął jej szalik aż na czoło.

Trudno. Co się odwlecze, to nie uciecze.

Po mniej więcej piętnastu minutach Jenny najpierw zobaczyła dym z komina, a po chwili starą, wiejską chatę z dużą werandą.

- To tutaj? - spytała.

- Tak. Dziadkowie zamieszkali tu, gdy przybyli w te strony. Potem dziadek wzniósł ranczo i od tamtej pory chata stała pusta. Kiedy ojciec rozbudował posiadłość, wydawało się, że to miejsce powoli popadnie w ruinę. A teraz należy do Josha.

- Tak tu pięknie. Nie dziwię się, że Josh kocha to miejsce.

- Szkoda, że tego samego nie można powiedzieć o ojcu. On wciąż hołduje tradycji, w myśl której prawdziwi ranczerzy nie uprawiają ziemi. To dlatego między nim a Joshem niezbyt się układa.

- I kto to mówi! - zaśmiała się Jenny. - Shane, zagorzały zwolennik zmian?

Najpierw się uśmiechnął, po chwili zaś spoważniał.

- A ty?

- Co ja? - Jenny też przestała się śmiać.

- Na przykład: dlaczego nie chcesz porozmawiać z Krukiem i dowiedzieć się czegoś więcej o ziołach, skoro tak bardzo się tym interesujesz?

Jenny wzniosła oczy do nieba.

- Znowu to samo! Indianie! Dlaczego my zawsze musimy rozmawiać o Indianach?

- Nie o Indianach, tylko o Indianinie. O Kruku. Wiesz dobrze, że on jest dla mnie jak rodzina. To dobry, mądry człowiek, który dużo wie i wiele mógłby cię nauczyć.

- Posłuchaj... - Chciała powiedzieć mu, co o tym wszystkim myśli, ale zrezygnowała z tego. Co za różnica, czy Shane ją zrozumie, czy nie. Ona i tak nie zamierzała zmieniać zdania. - Obiecałam Billy'emu, że ulepię z nim bałwana. Chyba powinniśmy już wracać.

Ściągnęła wodze i, unikając wzroku Shane'a, ruszyła przed siebie. Piękny krajobraz przestał ją cieszyć. Była zła i smutna, że znów się pokłócili. Wiedziała jednak, że w sprawie Indian nigdy nie osiągną porozumienia.

ROZDZIAŁ TRZECI

W środę w kuchni od rana panowało wielkie zamieszanie. Oprócz normalnych trzech posiłków, Jenny i Hanna przygotowywały obiad na czwartkowe Święto Dziękczynienia.

Po kolacji Jenny przykryła salaterkę z porzeczkową galaretką i z trudem wcisnęła ją do przepelnionej lodówki. Hanna męczyła się przy skubaniu trzynastokilogramowego indyka.

- No, chyba już koniec - jęknęła w końcu. - Jesteś pewna, że nie powinniśmy nadzieić go już dziś?

- Wiem, że wielu ludzi tak robi, ale moim zdaniem najlepiej zrobić to tuż przed wsadzeniem do pieca - odparła Jenny, zdziwiona, że stara, doświadczona kucharka gotowa jest zrezygnować ze swych czterdziestoletnich przyzwyczajeń.

- No dobrze, przecież wiem, że znasz się na tej robocie jak mało kto. Poczekamy do jutra.

Jenny z uśmiechem przyjęła ten komplement.

- A więc tym razem już z nami zostaniesz, co, moja panno? Brakowało mi twojej pomocy. Moje stare nogi coraz częściej odmawiają posłuszeństwa.

A więc zwyczajna rozmowa znów zboczyła na niebezpieczne tory. Hanna ani myślała rezygnować z interesującego ją tematu. Jenny wiedziała, że prędzej czy później do tego dojdzie, zdziwiła się tylko, że stało się to już drugiego dnia. Wiedziała, że oferta, jaką złożył jej Max poprzednim razem, jest nadal aktualna. Praca na ranczu byłaby z pewnością dużo łatwiejsza i mniej stresująca niż w mieście. W dodatku Jenny nie musiałaby się rozstawać z Savanną i pozostałymi domownikami, których tak bardzo polubiła. Dlaczego więc wahała się przed podjęciem ostatecznej decyzji? Tylko jedna odpowiedź przychodziła jej do głowy.

Shane.

Czy potrafiłaby być tak blisko niego i nie zaangażować się uczuciowo? Czy jest gotowa mu zaufać? Albo w ogóle jakimkolwiek mężczyźnie? Romans to jedno, a stały związek to zupełnie co innego. Matka nauczyła Jenny tego, że mężczyznom nie wolno ufać. Nagle przed oczami stanęła jej Savanna i Ryder... A może jednak od tej reguły są wyjątki i nie wszyscy faceci to pozbawieni skrupułów egoiści?

- Nad czym tak rozmyślasz, panienko? Słyszałaś moje pytanie?

- Hanno, przecież ja ci wcale nie jestem potrzebna. Jest Savanna i...

- I wkrótce będzie miała dziecko, a ono będzie najważniejsze. Jeśli zostanie jej trochę czasu i sił, pomoże mi w ścieleniu łóżek i odkurzaniu. A ja już ledwo powłóczę nogami. Zresztą Savanna woli pracować w gabinecie Maksa i właśnie tam spędza większość dnia. - Hanna wzięła indyka i wyniosła go do lodówki stojącej na werandzie.

Jenny schwyciła miskę z nadzieją i podążyła za gospodynią. Na dworze było tak zimno, że obie natychmiast wróciły do kuchni.

- No? - Hanna skrzyżowała ręce na piersi, ponaglając Jenny do odpowiedzi.

Dopiero po dłuższej chwili dziewczyna odważyła się spojrzeć jej w oczy.

- Obiecuję, że się nad tym poważnie zastanowię, dobrze?
- Na próżno starała się ukryć zniecierpliwienie.

- Nie uważasz, że lepiej ci się będzie myślało w samotności? - Hanna zdjęła fartuch i powiesiła go na kołku. - Dasz radę sama tu posprzątać? Ja muszę się położyć.

- Idź, idź, oczywiście.

- Dzięki. Do jutra.

Jenny szybko uporała się z porządkami, chciała bowiem zobaczyć, jak Savanna i Ryder radzą sobie z dekorowaniem ogrodu. Uznała to za dużo ciekawsze zajęcie niż zastanawianie się nad propozycją Hanny. Na to było jeszcze za wcześnie. Jakiś cichy, wewnętrzny głos przekonywał ją, że się myli, ale postanowiła go zignorować.

Zdjęła fartuch i przeszła do salonu. Chwilę grzała się przy huczącym w kominku ogniu, kiedy jednak dym zaczął gryźć ją w oczy, usiadła wygodnie na parapecie ogromnego, wychodzącego na ogród okna.

Patrzyła, jak cała trójka rozwiesza lampki na wspaniałej choince. Drzewko oświetlały reflektory furgonetki Rydera. Savanna siedziała na zderzaku, rozplątywała kolejne rzędy światełek i podawała stojącemu na drabinie mężowi. Po drugiej stronie drzewka, w cieniu, wieszał lampki Shane. Z zazdrością i podziwem patrzyła na pewne, spokojne ruchy jego rąk. Ona by tak nie umiała. Jej życiu stale towarzyszył pośpiech i nerwowa krzątanina. Nie pozostawało zbyt wiele czasu na jakąkolwiek refleksję czy choćby chwilę wyciszenia.

Czyżby celowo tak organizowała sobie życie, by nie zastanawiać się nad motywami swojego postępowania, pragnieniami, obawami? Obawami... skąd też przyszło jej do głowy to słowo? Czy kiedykolwiek w życiu przyznała się przed sobą samą do jakichkolwiek lęków? Chyba nigdy.

Szybko odepchnęła od siebie te niepokojące myśli. Próbowała w ciemnościach dojrzeć twarz Shane'a.

Nie! Nie powinna o nim myśleć. Szybko zamknęła oczy i wtedy... przypomniała się jej matka. Biedna kobieta! Tyle w niej było gniewu i nienawiści. Może choć w niebie znalazła trochę spokoju, pomyślała Jenny, spoglądając ku gwiazdom.

- Moja mama chyba mieszka na tej najbardziej błyszczącej.

Zaskoczona Jenny odwróciła się i ujrzała stojącego obok Billy'ego. Ręką wskazywał jedną z gwiazd.

- Czasami kiedy na nią patrzę, wydaje mi się, że do mnie mruga. - Billy uklęknął na szerokim parapecie i przylepił nos do szyby. - Tak mi przykro z powodu twojej mamy. Savanna mi powiedziała.

Jenny po prostu go do siebie przytuliła.

- Mama prosiła mnie, żebym wyobrażał sobie, że bawi się z aniołami. A ty myślisz tak czasami o swojej mamie?

Jenny oparła brodę na jasnej główce chłopczyka i przez chwilę zastanawiała się nad jego prostym pytaniem. Nie, nigdy tak nie myślała. Nie mogła sobie wyobrazić, by jej matka mogła się śmiać i bawić. Świat potępiał profesję Maddy, ale ta kobieta na pewno była na swój sposób szczęśliwa.

- Nasze mamy były zupełnie do siebie niepodobne, Billy - powiedziała w końcu.

- Dlaczego?

- Moja mama była bardzo nieszczęśliwa - odparła i ciężko westchnęła.

- Dlaczego?

Jenny nie widzącym wzrokiem wpatrywała się w okno. Czowała, że nie powinna zbywać Billy'ego byle czym, ponieważ chłopcu bardzo zależy na dowiedzeniu się prawdy.

- Mój ojciec zostawił nas jeszcze przed moim urodzeniem.

- Mój też. Ale mama zawsze wyglądała na szczęśliwą. Mówiła, iż najważniejsze jest to, że mamy siebie nawzajem.

- Twoja mama była wyjątkowa, Billy - szepnęła Jenny i pocałowała go w czoło.

- Wiem.

Miała nadzieję, że wyczerpali już temat, kiedy mały odezwał się znowu.

- Opowiadała ci o twoim tacie?

- Trochę.

Billy wpatrywał się w nią uważnie i czekał na szczegóły. A ona wolałaby udawać, że ten facet w ogóle nie istniał. Mogła powiedzieć Billy'emu, że to nie jego sprawa, ale to przecież tylko dziecko i w dodatku takie urocze. Nie ma powodu, by się na niego złościć.

- Powiedziała mi, że był Indianinem i że pochodził z Montany. - Dawno już o tym nie myślała. Dopiero teraz ten fakt ją zaniepokoił. Z Montany... Ale skąd konkretnie? Czy może z tej okolicy? - Pojechał, żeby odwiedzić swego chorego ojca i obiecał, że wróci, ale nigdy już się nie odezwał.

- To dlatego nie lubisz Kruka?

- A kto mówi, że go nie lubię? - spytała zaskoczona.

- Nikt. - Billy wzruszył ramionami. - Po prostu w jego obecności jesteś jakaś inna. Wobec wszystkich pozostałych osób jesteś bardzo miła, no, może z wyjątkiem wujka Shane'a.

Przed tym dzieciakiem nic się nie ukryje. Czyżby jej zachowanie było aż tak wymowne? Chyba tak, skoro zauważył to nawet ośmiolatek. Po chwili kłopotliwego milczenia ujęła chłopca pod brodę i spojrzała mu w oczy.

- Czy ktoś ci kiedyś mówił, że jesteś wyjątkowo mądry jak na swój wiek?

- Mhm. Tata i Savanna. - Uwaga Jenny wyraźnie sprawiła mu przyjemność. - I czasami dziadek Max.

- No to teraz dodaj do tej listy jeszcze mnie, mój panie.

Billy wtulił się w jej ramię i przez chwilę w milczeniu spoglądali w niebo. Cisza trwała jednak tylko pięć minut.

- Chciałbym, żeby mama była ze mną, ale nie ma lepszego miejsca na świecie niż ranczo Malone'ów. Z tatą i Savanną, dziadkiem Maksem i innymi. Może i ty nie byłabyś taka smutna, gdybyś tu zamieszkała.

- Dość, mój drogi. Wcale nie jestem smutna. - Uśmiech, na który się zdobyła, niestety nie był zbyt przekonujący.

- Och, patrz! - krzyknął chłopiec, kiedy Ryder zapalił lampki.

Jenny przez łzy patrzyła to na zachwyconą twarz dziecka, to na choinkę.

Jednego już była pewna. Wcale nie będzie jej tak łatwo stąd wyjechać, jak z początku myślała.

Mężczyźni wstali ze swoich miejsc przed telewizorem i z lubością wdychali smakowite zapachy dochodzące z kuchni. Stół w jadalni był już nakryty. Mecz wygrała drużyna z Detroit, więc Jenny i Savanna postanowiły to wykorzystać.

- Miałaś znakomity pomysł z tym zakładem ~ powiedziała głośno Savanna, stawiając na stole salaterkę z galaretką.

Pierwszy zareagował Josh.

- Ona tylko żartowała. To nie był prawdziwy zakład.

- Akurat! - obruszyła się Hanna. Właśnie wniosła do jadalni cudownie przyrumienionego indyka i postawiła go przed Maksem do pokrojenia. - Dla mnie to wcale nie brzmiało jak żart. Po obiedzie kobiety oglądają telewizję, a mężczyźni zmywają. Taki był zakład. Słyszałam na własne uszy. A jeśli któryś z was stłucze choć jeden porcelanowy talerzyk czy kryształowy kieliszek, będzie miał ze mną do czynienia.

Pomrukując pod nosem, mężczyźni zasiedli do stołu.

- To wina Joego - stwierdził Ryder.

- Jasne - zgodził się Shane, który szukał płyty z odpowiednią muzyką. - Gdyby nie on, Montana na pewno by wygrała.

- Tato, czy ty i wujek Shane nauczycie mnie kiedyś grać w piłkę? - Billy wpatrywał się w Rydera wzrokiem pełnym uwielbienia.

Widząc to, Shane poczuł lekkie ukłucie zazdrości. Czy na niego też kiedyś jakieś dziecko będzie tak patrzeć? Czy w ogóle będzie miał dzieci? Przecież ma już prawie trzydzieści cztery lata, a wciąż jest samotny. Coraz częściej marzyło mu się założenie rodziny.

- Futbol, futbol! - W drzwiach stanęła Hanna. - To my, kobiety, całe dni jak niewolnice spędzamy w kuchni, żeby przygotować wam prawdziwą ucztę, a wy potraficie rozmawiać tylko o jakimś kawałku świńskiej skóry.

Siedzący najbliżej drzwi Max ujął ją za rękę,

- Masz rację, Hanno. A teraz usiądź z nami.

Wskazał jej krzesło obok siebie, na którym gosposia siadała tylko przy wyjątkowych okazjach. Nieśmiało podniosła wzrok, kiedy Shane uniósł do góry kieliszek.

- Proponuję, żebyśmy wypili zdrowie Hanny, Savanny i... Jenny. - Przez moment jego oczy spotkały się ze spojrzeniem tej ostatniej. - Za te wszystkie pyszności, które dla nas przygotowały, nie szczędząc sił i serca. Stokrotne dzięki, moje panie. Wesołych świąt!

- Zdrowie, zdrowie!

Max odmówił modlitwę i zabrał się do krojenia indyka. Przy wtórze muzyki Haendla dobiegającej z salonu wszyscy zabrali się do jedzenia.

Shane kątem oka obserwował, jak zarumieniona Jenny przyjmuje kolejne pochwały. Wiedział, że wystarczy najmniejszy ruch nogą, by ich kolana się zetknęły. Kiedy usłyszał, że Max chrząknięciem przygotowuje się do przemowy, przyjął to z wyraźną ulgą. Przynajmniej będzie mógł skupić uwagę na czymś innym.

- Po takim wspaniałym posiłku zastanawiam się, czy w ogóle powinienem zabierać głos, ponieważ na pewno jedzenie nie będzie tam nawet w połowie takie dobre, ale chcę wam powiedzieć, że władze uniwersytetu za dwa tygodnie wydają

specjalny bankiet... i... no... - Max upił łyk wina, bo ze wzruszenia wyraźnie zaschło mu w gardle - to będzie bankiet na moją cześć i cała rodzina jest zaproszona.

- Gratuluję. - Shane spojrzął na ojca i uniósł kieliszek. Pozostali oczywiście do niego dołączyli.

- Czy to jakaś specjalna okazja? - spytał Josh.

- Owszem.

- Jaka? - nie rezygnował Josh.

- Zostałem wybrany Człowiekiem Roku.

- Dziadku, to super! - Billy zerwał się z krzesła i rzucił Maksowi w ramiona.

Wszyscy zaczęli bić brawo, a Shane zwrócił się do Jenny z wyjaśnieniami.

- Od kiedy tata przestał pracować na pełnym etacie, co środę wykląda na stanowym uniwersytecie. Wyszkolił już tylu lekarzy, że chyba nie ma w tym kraju uniwersyteckiej kliniki, w której nie słyszano by o jego wybitnych zasługach dla neurochirurgii.

Dumny jak paw Billy wrócił na swoje miejsce i od razu wepchnął sobie do ust ogromną łychę ziemniaków.

- A skoro już o uniwersytecie mowa... - zaczął Max. - Mam teraz wyjątkowo zdolną studentkę. Chciałbym zaproponować jej pracę w moim gabinecie. Poprosiłem ją, by usiadła na tym bankiecie przy naszym stoliku.

- Czy chodzi o nią? - Josh od razu się zainteresował.

- Tak... O Taylor Philips. I właśnie tylko twoja osoba powstrzymuje mnie przed złożeniem jej tej propozycji.

- A to dlaczego?

- Jest nie tylko zdolna, ale też wyjątkowo piękna. Wiem, że interesujesz się kobietami w jej wieku i...

- To ile ona ma lat? - wtrącił się Ryder. - Czternaście?

Josh rzucił w jego stronę bułkę, ale Ryder złapał ją w locie.

- Ma dwadzieścia kilka lat - tłumaczył dalej Max - właśnie zrobiła magisterium i jest znakomitą fizykoterapeutką. Ja już nie mam cierpliwości do leczenia połamanych rąk i nóg tych wszystkich zwariowanych kowbojów, a jestem pewien, że jej poleceniom podporządkują się z przyjemnością.

- Taka jest wyjątkowa? - prychnął Josh.

- Przyjdź na bankiet, to sam zobaczysz. - Max rozejrzał się po zgromadzonych. - Savanno i Jenny... mam nadzieję, że i wy przyjdziecie.

- Oczywiście, że przyjdziemy. - Savanna nie wahała się ani chwili. - Jeśli ta Taylor jest taka wspaniała, jak mówisz, to wolę mieć oko na Rydera.

- Wujku Shane - wtrącił się z pełnymi ustami Billy - czy mógłbym wtedy spać z Krukiem?

Shane oczywiście zauważył, że i tym razem na sam dźwięk imienia starego Indianina Jenny zmarszczyła brwi.

- Jestem pewien, że będzie zachwycony. Możesz po obiedzie sam pójść i zapytać go o zgodę. A przy okazji zanieś mu trochę tych smakołyków.

- A dlaczego Kruk nie idzie z wami na bankiet? - zainteresował się Billy.

Wszyscy spuścili głowy, nagle bardzo zajęci jedzeniem. Tylko Jenny czekała na odpowiedź.

- Oczywiście on też został zaproszony, ale Kruk nie lubi tłumy i beztróskiej paplaniny. To dla niego nie jest prawdziwa rozmowa. I dlatego myślę, że z radością spędzi ten wieczór z tobą.

Po kilku sekundach milczenia Josh zmienił temat.

- Chyba jutro wybiorę się do Billings. Muszę dokupić trochę materiałów budowlanych.

- Znakomity pomysł - ucieszył się Ryder. - A więc choć przez jeden dzień odpoczne od młotka. Dzięki, braciszku.

- Ciesz się chwilą - zaśmiał się Josh. - Zobaczysz, ile roboty przygotowałem ci na przyszły tydzień. A ty, Shane - zwrócił się do drugiego brata - mógłbyś w końcu obejrzeć moje dzieło. Zdziwisz się, ile już zrobiłem.

Shane poprawił się w krześle i jego noga przypadkowo musnęła łydkę Jenny. Nie cofnęła jej. I on też nie, choć wiedział, że powinien.

- No? - nalegał Josh.

- Jasne, że zobaczę. Może jutro rano, jak skończę obrządek na ranczu.

Chciał spytać Jenny, czy zechce mu towarzyszyć, ale nie ośmielił się na nią spojrzeć. Kiedy jednak leciutko poruszyła nogą, zrozumiał, że odczytała jego myśli. Nie ulegało wątpliwości, że nazajutrz razem pojedą na farmę Josha. Będą wreszcie sami - z dala od rancza i ciekawskich oczu. W miejscu ogrzewanym jedynie przez piec w kuchni i kominek w salonie.

Wtedy przypomniał sobie, że brat wspominał coś o łóżku.

Szybko odsunął krzesło.

Te myśli były równie niebezpieczne jak siedząca obok kobieta. Może powinien poprosić Billy'ego, by się z nimi wybrał.

Savanna rozstrzygnęła tę sprawę za niego.

- Wiesz co, Ryder? Skoro masz jutro wolne, może weźmiesz mnie i Billy'ego do miasta na zakupy? Do Bożego Narodzenia już niedaleko. To może być ostatnia okazja, bo przecież... - przerwała i pogładziła się po brzuchu.

Ryder jęknął, ale przystał na propozycję żony.

Shane gwałtownym ruchem odsunął od siebie talerz. Nie w głowie mu było teraz jedzenie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W piątek po śniadaniu, przed wspólną wyprawą na zakupy, Ryder z Billym mieli jeszcze coś do zrobienia, więc Savanna poszła do siebie, by przygotować listę świątecznych prezentów. Była tak podekscytowana, że jej entuzjazm udzielił się Jenny, która została sama w kuchni.

Shane powiedział, że o dziesiątej będą mogli wyruszyć do chaty Josha. Zostało więc jeszcze dwadzieścia minut, by przygotować coś do jedzenia. Tylko jak to zapakować?

Szybko narzuciła kurtkę i pobiegła do komórki przy stajni. Pachniało tam drewnem i skórą. Na ścianach, jak w jakimś westernie, wisiały uprząże i siodła.

- Mogę ci w czymś pomóc?

Odwróciła się zaskoczona i ujrzała stojącego w drzwiach Kruka.

- Czemu ty mnie ciągle szpiegujesz? - warknęła z irytacją.

- Nie jestem koniem. Nie mam kopyt ani podków, dlatego nie słyszysz moich kroków.

Nie miała czasu, by z nim dyskutować, więc od razu przeszła do rzeczy.

- Szukam czegoś, do czego mogłabym zapakować jedzenie. Wybieramy się z Shane'em na farmę.

Indianin nie ruszył się z miejsca, tylko ręką wskazał na wiszące na ścianie skórzane torby.

- Druga od lewej będzie najlepsza. Jest największa.

Jenny zdjęła ją z haka i chciała wyjść, lecz Kruk zagroził jej drogę.

- Jakie nosisz nazwisko?

Czy on zwariował?

- Moon.

- Pytam o całe nazwisko, również to indiańskie. Chciała powiedzieć mu, żeby poszedł do diabła, ale uznała, że powiedzenie prawdy najszybciej zakończy tę farsę.

Kiedy usłyszał jej odpowiedź, zeszywniał, a ona wykorzystała tę chwilę, by go wyminąć.

Jak Shane wytrzymuje z tym starym idiotą? Ją samą Kruk doprowadzał do szału. I po co mu jej nazwisko? Właściwie nigdy go nie nosiła, bo matka zmieniła je jeszcze przed przyjściem Jenny na świat.

Pakowała właśnie ostatnią kanapkę, kiedy do kuchni wpadł Shane. Był zarumieniony od mrozu i wyraźnie zakłopotany.

- Na pewno chcesz dziś jechać na farmę? - spytał. - Jest wyjątkowo zimno i wygląda na to, że zaraz zacznie padać.

Chwyciła wyladowaną torbę i wzniosła oczy do nieba.

- A gdybym zrezygnowała, to ty byś pojechał? - spytała. Lekki uśmiech na jego twarzy potraktowała jako odpowiedź.

- Więc Sam widzisz. Bierz, przynajmniej się na coś przydasz - dodała, wręczając mu torbę.

Shane posłusznie wziął z rąk Jenny torbę i czekał, aż dziewczyna włoży kurtkę, czapkę i rękawiczki. Przestał się uśmiechać.

- Rozmawiałaś dziś z Krukiem?

- Tak, a bo co?

- Czy nie wydał ci się dziwny?

Jenny parsknęła śmiechem. On zawsze wydawał jej się dziwny. Czy Shane dopiero teraz to zauważył?

- Pytam poważnie. Pokłóciliście się? Ta rozmowa zaczynała ją już męczyć.

- Trudno to nazwać rozmową. Powiedziałam mu, czego szukam, a on mi to wskazał. Podziękowałam mu i tyle. A o co chodzi?

- Kiedy poszedłem po derki, stał w progu i gapił się w przestrzeń. Z początku nawet mnie nie zauważył. Potem powiedział, że wyjeżdża na parę dni... i żebym się nie martwił.

Wciąż zafrasowany, Shane otworzył drzwi i przepuścił Jenny przodem. W drodze do stajni dziewczyna rozpamiętywała niezwykłą rozmowę z Indianinem. Nie wspomniała Shane'owi, o co Kruk ją pytał. Ale czy to ważne?

Słońce skryło się za ogromną, szarą chmurą i Jenny było coraz zimniej. Otuliła szyję szczelnie szalikiem i naciągnęła kaptur. Zatrzymali się dopiero na wzgórzu. W dole przy stadzie była uwijali się robotnicy.

- Nie masz nic przeciw galopowi? - spytał Shane.

W jego spojrzeniu zauważyła niepokój. Nie wiedziała, czy chodziło mu o Kruka, czy też o załamującą się pogodę. I wolą nie pytać.

- Prowadź.

Słyszał ją tuż za sobą i z trudem zbierał myśli. Ta wyprawa chyba nie była najlepszym pomysłem. Ciężkie chmury zapowiadały śnieżną zamieć. Shane nie martwił się jednak tym, że mogą być kłopoty z powrotem na ranczo. O wiele bardziej niepokoił go fakt, że zostanie sam na sam z tą niesamowitą kobietą. Jeśli będą musieli spędzić noc w chacie Josha, to kto mu zagwarantuje, że do niczego między nimi nie dojdzie? Oczywiście powrót brata, który pojechał do Billings, trochę przyhamuje bieg wypadków. Szczególnie że w chacie nie było jeszcze żadnych wewnętrznych drzwi.

Do farmy pozostało około kilometra. Teraz, kiedy Shane uspokoił już nieco swoje sumienie, myślami wrócił do Kruka. Czy, poza dorocznym spędem, Indianin kiedykolwiek opuszczał ranczo? Przynajmniej od kilku lat tego nie robił. Wcześniej wyjeżdżał na krótko i tylko po to, żeby odwiedzić nielicznych przyjaciół, jakich miał jeszcze w rezerwacie. I zawsze planował taki wyjazd wiele tygodni naprzód. O co chodzi tym razem?

Przy chacie Shane zwolnił i zaczekał, aż dołączy do niego Jenny.

- Dzięki Bogu - powiedziała. - Tyłek mi już zdrętwiał.

Zostawili konie w starej, ale uporządkowanej stajni i nasypali siana do żłobów. Jenny wzięła torbę, a Shane zamknął dokładnie wrota.

Przed drzwiami chaty leżało drewno do kominka, co bardzo ucieszyło Shane'a. Zajmie się rozpaleniem ognia i przynajmniej będzie miał coś do roboty. Wciąż niepokoiła go myśl o pobycie w pustym domu sam na sam z tak atrakcyjną kobietą. Może pogoda pozwoli im jednak spokojnie zjeść tu obiad i w porę wrócić na ranczo. Tylko czy na pewno byłby zadowolony z takiego rozwoju wypadków? Kiedy Jenny minęła go w progu i poczuł leciutki zapach jej perfum, pomyślał, że tak naprawdę pogoda nie ma tu nic do rzeczy.

- O rany! - Zachwycona Jenny stanęła pośrodku ogromnej kuchni. Patrzyła na dębowy kredens, na ciemne belki pod sufitem i wspaniałą, kafłowy piec. Miała wrażenie, że nagle przeniosła się do krainy czarów. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że nie jest sama.

- Nie powiedziałaś mi, że tu jest tak pięknie. Nic dziwnego, że Josh z takim zapalem remontuje tę chatę. - Położyła torbę na stole, ściągnęła kaptur i rękawiczki i chwyciła Shane'a za rękę. - Chodź, pokaż mi resztę.

Kiedy ujął jej dłoń i poczuł dziwny, przenikający go na wskroś dreszcz, zrozumiał, że wpadł po uszy. Widział już to wewnątrz wiele razy i zapomniał, jak piękne może być dla kogoś, kto jest tu po raz pierwszy. Prowadząc dziewczynę przez jadalnię, salon, przyszłą łazienkę i sypialnię na parterze, zdobył się nawet na parę słów objaśnień.

Potem ostrożnie poprowadził ją nowymi schodami, jeszcze bez poręczy, na piętro, gdzie obejrzała kolejne trzy sypialnie i wielką łazienkę. Na ścianach na razie nie było tynku, wszędzie pachniało wapnem.

Kiedy wrócili na dół, Shane zauważył przed kominkiem coś dużego, przykrytego prześcieradłem. Podprowadził Jenny w tamtą stronę i ostrożnie ściągnął zakurzony materiał. Ich oczom ukazały się dwie ogromne poduchy, jedyne rzeczy w całym domu, które nie przypominały sprzętów lub materiałów budowlanych. W kącie przy drzwiach stała miotła. Trzeba będzie zamieść miejsce przed kominkiem, aby...

Shane spojrzał w roześmiane oczy Jenny i ujął ją za drugą rękę.

- Jesteś głodna?

Nagle jej uśmiech stał się bardzo nieśmiały.

- Umieram z głodu - przyznała szeptem.

Miał wrażenie, że leciutko ścisnęła jego palce. Czy naprawdę ma na myśli jedzenie, czy też znów czyta w jego myślach?

- Nie miałbym nic przeciwko kanapce z indykiem - powiedział, z trudem rozpoznając własny głos. - Mogę rozpalić ogień tutaj albo w kuchni. Gdzie wolisz?

- Tutaj - odparła bez wahania.

Przez nieskończenie długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, jakby porażeni własnymi myślami. Shane szybko puścił jej rękę.

- Dobrze, idę po drewno.

Kiedy wrócił, był trochę spokojniejszy, bo przez chwilę udało mu się pooddychać świeżym, rześkim powietrzem. Jenny wykladała na stół zawartość torby. Zauważył, że jedzenia starczy na co najmniej dwa posiłki.

Właśnie zwijał starą gazetę, by użyć jej na podpałkę, kiedy zadzwonił telefon. Shane rozejrzał się niepewnie dokoła, nie mogąc ustalić źródła dźwięku. Znalazł w końcu aparat na jakimś wiadrze z farbą w kącie salonu. Odebrał po trzecim dzwonku.

- Hej! - Głos Josha brzmiał jak zwykle serdecznie i wesoło. - A więc dotarliście. No i jak ci się tu podoba?

Shane znieruchomiał i zaniemówił. Czuł, że brat za chwilę powie mu, że nie wraca na noc.

- Shane, jesteś tam?

- Mhm. Tak, dom wygląda wspaniale. Mnóstwo zrobiłeś w ciągu tego tygodnia. - Zaczerpnął tchu i w końcu odważył się zadać to pytanie. - O której planujesz powrót?

- Właśnie dlatego dzwonię. Zaczęła się śnieżycyca, a moja furgonetka jest wyładowana po brzegi. A u was jaka pogoda?

Shane spojrział przez okno. Zauważył kilka tańczących w powietrzu płatków, ale ciemne chmury na horyzoncie nie wróżyły niczego dobrego.

- Zanosi się na śnieżycę.

- Wobec tego chyba przenocuję w mieście. A wy będziecie próbowali wrócić na ranczo?

- Nie wiem. Właśnie zacząłem rozpalać w kominku, a Jenny szykuje obiad. Zobaczymy, jak będzie, kiedy skończymy jeść. - Śmiech po drugiej stronie tylko go zdenerwował. - Co cię tak śmieszy, braciszku?

- Śnieżycyca, romantyczne wnętrze z kominkiem, ty i Jenny... Radzę ci więc, nie spiesz się z tym jedzeniem... jeśli wiesz, o co mi chodzi. - Josh zaśmiał się jeszcze raz i odłożył słuchawkę.

Shane miał ochotę zadzwonić do Billings i sprawdzić, czy rzeczywiście tam pada, czy też brat uknuł sprytną intrygę.

- Jakiś problem? - zainteresowała się Jenny.

- W Billings jest śnieżycyca. Josh zostaje tam na noc. Wydawało mu się, że dostrzegł na twarzy Jenny lekki uśmiech. Spojrzała w okno, potem złożyła ręce na piersi i oparła się o framugę.

- Więc może powinniśmy zrezygnować z obiadu i wracać, zanim na dobre tu utkniemy?

Shane też spojrział w okno, udając, że rozważa propozycję Jenny.

Potem popatrzył na dziewczynę i z udawaną nonszalancją wzruszył ramionami.

- A jak ty wolisz?

Zawsze uważał się za człowieka opanowanego, ale tym razem miał co do tego poważne wątpliwości. Nerwowym gestem zatarł ręce i podszedł do kominka.

- No to... wobec tego rozpalę ogień i przyniosę więcej drewna.

Choćby jego życie od tego zależało, nie odważyłby się teraz spojrzeć na Jenny. Kątem oka dostrzegł, że dziewczyna wciąż stoi nieruchomo w tym samym miejscu. Ciekawe, czy nadal się uśmiecha, czy też dręczą ją te same myśli co Shane'a? Będą musieli spać przy kominku, a jest tylko jeden materac. W dodatku niezbyt duży.

Shane zajął się ogniem, próbując spojrzeć na sytuację chłodnym okiem. Może za dużo sobie wyobraża. Nocleg w chacie - o ile w ogóle okaże się to konieczne - nie oznacza jeszcze, że Jenny zgodzi się na cokolwiek więcej.

Płomień buzował już w najlepsze, kiedy Jenny opadła na jedną z wielkich poduch i podała Shane'owi ogromny papierowy talerz.

- Wspaniały ogień - powiedziała. Wolą patrzeć na kominek niż na siedzącego obok mężczyznę.

- Wspaniałe jedzenie - rzekł, patrząc na talerz z kanapką, jarzynami i czymś jeszcze, czego nie potrafił rozpoznać. - A to co?

- Lucerna siewna - odparła, chrupiąc kawałki selera. - Dobrze robi na energię i wytrzymałość. - Dłoń, w której Shane trzymał kanapkę, zawisła w połowie drogi ust.

- Leczy także alergię... no wiesz, na kurz, którego tu pełno. Pomyślałam sobie, że powinniśmy się jakoś zabezpieczyć.

- No tak, jasne.

Shane wreszcie ugryzł pierwszy kęs. Szczęśliwy, że choć przez chwilę nie musi nic mówić, wpatrywał się w ogień.

W połowie posiłku Jenny odstawiła talerz na podłogę, wstała, przeciągnęła się i podeszła do okna. Była bez kurtki, więc po kilku sekundach skuliła się z zimna. Jej prawie czarne włosy kontrastowały z padającym za oknem śniegiem i kremowym golfem, w który była ubrana. Shane nie mógł oderwać od niej oczu. Szybko wstał i stanął obok niej.

- O czym myślisz?

- Wcale tak bardzo nie pada. Może powinniśmy wracać?

Jenny odwróciła się. W jej oczach kryło się coś więcej niż to proste pytanie. Tym razem nie drażniła się z nim ani nie żartowała. Nie ulegało wątpliwości, co ma na myśli. Coś ich do siebie ciągnęło już w czasie jej pierwszej wizyty w Montanie i czas wcale tego nie zmienił. Shane patrzył na jej wargi, chciał, by powiedziała coś innego, by...

Kiedy dziewczyna zapraszająco rozchyliła usta, niczego nie trzeba już było mówić.

Zaczął się od szybkich, delikatnych pocałunków, a potem... Shane przyciągnął ją do siebie. Ich języki spotkały się w szalonym tańcu, ich oddechy zlały się w jedno.

Nagle Jenny oprzytomniała i odepchnęła go od siebie.

- Chwileczkę - wyjąkała z trudem. - Czy mogę wiedzieć, jakie są twoje intencje?

Była bardzo poważna. Nie, na pewno nie pytała o małżeństwo. To niepodobne do takiej niezależnej kobiety. Z drugiej jednak strony z Jenny Moon wszystko jest możliwe.

- Czy mówimy o... - przez moment Shane szukał odpowiedniego słowa - stałym związku?

Spojrzała na niego, jakby był niespełna rozumu.

- No, co ty! Chcę tylko wiedzieć, czy zamierzasz rozpalić mnie do czerwoności, a potem zostawić nie zaspokojoną.

Czemu zaskoczyła go jej szczerość? Przecież sam przed chwilą przyznał, że po niej można spodziewać się wszystkiego. Kiedy się uśmiechnęła, odprężył się i po prostu znów wziął ją w ramiona.

- Nie martw się, malutka. Zrobimy wszystko tak, że na pewno będziesz zadowolona.

Myślał, że ją tym rozbawi, lecz ona znów spoważniała.

- O co tym razem chodzi? - spytał zniecierpliwiony. Jenny poklepała się po kieszeniach.

- Nie mam gumki. A ty?

Shane pokręcił głową.

- Też nie.

- Jezu, już nie pamiętam, kiedy kochałam się bez zabezpieczenia.

- Ja też nie.

Przez chwilę patrzyli na siebie z tym samym pytaniem w oczach... Ilu było tych innych partnerów? Kiedy ostatni raz?

Oboje uznali, że o pewnych sprawach lepiej nie mówić.

- No, cóż, kowboju, masz więc okazję na pływanie bez czepka.

Shane nie mógł się nie roześmiać. Nigdy nie spotkał tak bezpośredniej kobiety. Szybko jednak spoważniał.

- Czy ty choć na kilka minut mogłabyś zrezygnować z tych swoich dowcipów?

Przez chwilę wyglądała na zawstydzoną, szybko jednak odparowała:

- Kilka minut? Tylko tyle to będzie trwało?

- Za pierwszym razem.

Dalej nie miał już ochoty rozmawiać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Shane delikatnie położył ją na poduszkach, sam ułożył się obok, twarzą do ognia. Jenny zamknęła oczy, w duchu nakazując sobie spokój. To nie był przecież jej pierwszy raz, dlaczego więc była tak onieśmielona? No tak, tym razem bowiem nie chodziło tylko o zaspokojenie fizycznego pożądania.

Myśl ta śmiertelnie ją przeraziła.

Czy będzie w stanie kochać się z tym mężczyzną, trzymając uczucia na wodzy?

Kiedy poczuła jego rękę na swoich włosach, otworzyła oczy.

- Pamiętam, kiedy Savanna miała taki sam kolor. Naprawdę nabrałyście Rydera tym przebraniem. Czy to kolejna gra, Jenny? - spytał bardzo poważnie.

Chciała mu powiedzieć, że tak. Odpręż się, to tylko gra, powtarzała sobie gorączkowo w myślach.

Jej serce mówiło jednak coś innego. Wytrzymała spojrzenie Shane'a i pokręciła głową.

Wsunął rękę pod jej sweter i skierował ją prosto do piersi. Uśmiechnął się, kiedy odkrył, że Jenny nie ma nic pod spodem. Delikatnie zdjął jej sweter i odłożył na podłogę. Potem, wciąż uśmiechnięty, rozebrał Jenny do końca.

Grzało ją ciepło od kominka i spojrzenie lśniących oczu Shane'a. I oczekiwanie na to, co za chwilę miało nastąpić. Kiedy nachylił się i pocałował jej brzuch, poczuła dziwne pulsowanie i wilgoć między nogami. Ujęła go za ramiona, przyciągnęła do siebie i pocałowała.

- Hej, maleńka, nie spiesz się - szepnął. - To nasz pierwszy raz i chcę, żeby był wyjątkowy. Nie martw się, dam ci wszystko, czego zapragniesz.

A więc kłamał. To nie zakończy się po kilku minutach. Widziała w jego spojrzeniu, że będzie ją torturował swoimi delikatnymi dłońmi i pieszczotami.

Próbowała się opanować, ale chciało jej się krzyczeć po każdym niespiesznym pocałunku. Nikogo dotąd tak nie pragnęła. Czy kiedykolwiek będzie miała dość? Już teraz myślała o drugim razie i o wszystkich następnych.

Shane wstał i nie odrywając wzroku od Jenny, spokojnie zdejmował z siebie ubranie. Robił to tak wolno, jakby cały świat w ogóle go nie interesował, jakby nie słyszał rozgorączkowanego oddechu Jenny.

Kiedy jego slipy podzieliły los reszty ubrania i Jenny zobaczyła jego męskość w całej okazałości, przysła jej do głowy kolejna głupawa uwaga. Ten facet chyba za długo przebywał wśród koni.

Dopiero gdy znów się położył i poczuła na sobie jego ciało, zapomniała o wszystkich dowcipach. Pozostało jedynie czyste pożądanie.

Jakby za obopólnym porozumieniem kochali się w absolutnym milczeniu. Przemawiały tylko do siebie ich ciała.

Shane wsparł się na łokciu i patrzył na uśmiechniętą, spokojną twarz leżącej obok kobiety. Do tej pory zawsze miała zmarszczone brwi i czoło. A teraz to, co tak ją zawsze niepokoiło, odeszło w niepamięć. Przynajmniej na razie. Kiedy zauważył, że Jenny drży, szepnął jej do ucha:

- Przyniosę koc... Zaraz wrócę.

Spojrzał na wąski materac i przez chwilę zastanawiał się, czy nie przynieść go przed kominek, nie chciał jednak ruszać Jenny, wziął więc tylko koc i poduszkę.

Kiedy położył się obok i wsunął jej poduszkę pod głowę, uśmiechnęła się i pogładziła go po policzku.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie potrafił znaleźć właściwych słów. To, co przed chwilą między nimi zaszło,

było czymś więcej niż tylko połączeniem dwóch ciał. Kiedy wyobraził ją sobie wsiadającą do samolotu, serce ścisnął mu nieopanowany żal.

Nagle, jakby wyczuwając jego ból, a może nawet czując to samo, Jenny usiadła i objęła Shane'a ramionami.

Przez długą chwilę siedzieli tak wtuleni w siebie. Kiedy w końcu odważyli się na siebie spojrzeć, ich usta znów się odnalazły.

Ten drugi raz całkowicie ich oszołomił. Ich ciała już się znały i przemawiały zgodnym głosem.

Trzecim razem było tak samo.

Potem zapadli w drzemkę.

- Nie jest ci zimno? - zaniepokoił się Shane, bo ogień na kominku już prawie wygasł.

- Czyżby to była propozycja? - zamruczała sennym głosem Jenny.

- Owszem. Proponuję, że wstanę i rozpalę większy ogień. Czeka nas długa, zimna noc.

- Jesteś głodny?

- Jak wilk.

- Ja też. - Jenny wciągnęła sweter oraz dzinsy i boso podreptała do kuchni.

Kiedy wróciła z kolacją, na kominku płonął ogień, a w salonie zrobiło się ciepło i przytulnie. Shane był już ubrany, usiedli więc na poduszkach i rzucili się na jedzenie. Gdy prawie skończyli, Shane odważył się wreszcie spojrzeć na Jenny. Wyglądała na odprężoną i szczęśliwą, a jej czoła nie szpeciła żadna zmarszczka.

- Co takiego? - spytała po chwili.

- Jesteś teraz taka piękna.

- Teraz?

- Bez tej zwykłej maski. - Ledwo wyrzekł te słowa, zorientował się, że popełnił błąd.

- Jakiej znów maski? - Jenny wytarła usta i palce, a potem wrzuciła serwetkę do ognia.

- Tej, pod którą właśnie znów się ukryłaś.

Wiedział, że teraz to on jest przyczyną ponurej miny Jenny. Zrobiło mu się przykro, bo myślał, że nie będzie już między nimi żadnych gier ani udawania. Okazał się jednak niepoprawnym optymistą.

Długą chwilę milczenia przerwała w końcu Jenny. Zaczęła z wahaniem, ale Shane od razu wiedział, że to, co mu powie, jest bardzo ważne.

- M... mój ojciec... wiesz już chyba, że był Indianinem. Mama poznała go tutaj, w Montanie. Tuż potem pobrali się i przenieśli do Detroit. Była w ciąży, kiedy powiedział, że musi wyjechać, żeby odwiedzić umierającego ojca. I nigdy już się nie wrócił... Nawet się nie odezwał.

Shane gładził ją po plecach, szczęśliwy, że go nie odtrąca.

O tyle rzeczy chciał ją zapytać, uznał jednak, że lepiej będzie, jak sama mu wszystko powie. Własnymi słowami, gdy będzie tego chciała.

- Mama mówiła, że jego rodzice nie zaaprobowali tego małżeństwa... bo ona była biała... Bali się, że ich dzieci nigdy nie poznają swoich korzeni, że ich nie docenią. - Jenny parsknęła gorzkim śmiechem. - No, w tym akurat się nie mylili. Ja rzeczywiście nie doceniam ich spuścizny.

Shane zauważył, że użyła słowa „ich”, a nie „mojej”, i zrobiło mu się smutno. Kochał Kruka jak ojca i chciał, by Jenny polubiła Indian. Czy uda jej się jednak wymazać z pamięci wszystkie gorzkie wspomnienia i uprzedzenia?

- To nas będzie zawsze dzieliło, prawda? - spytała.

- Wcale nie musi - szepnął, przytulając ją do siebie. Kiedy na niego spojrzała, zauważył w jej oczach ból i niepewność.

- Wiem, ile Kruk dla ciebie znaczy, ale mnie... - Jenny spojrzała w ogień - mnie doprowadza do szału.

- Boisz się go?
- To nie tak... No... On jest taki inny.
- Chciałaś powiedzieć... inny od białych.
- Sama nie wiem - westchnęła. Nagle wstała i zaczęła zbierać puste talerze. - Zjesz coś jeszcze? - zapytała, idąc do kuchni.

- Nie, dziękuję.

Chciał ciągnąć ten temat, ale zrozumiał, że Jenny ma już dość. W każdym razie wreszcie zaczęli ze sobą rozmawiać. Na początek dobre i to. Może później...

Wróciła z figlarnym uśmiechem i uklękła obok niego.

- Chodź, pobawimy się w śniegu.

- Chyba żartujesz.

- No, chodź! Miej fantazję! Kiedy ostatnio robiłeś orła na śniegu?

Jej dziecięcy entuzjazm był zaraźliwy.

- No, kamień spadł mi z serca! Bałem się, że masz na myśli zupełnie inną zabawę. A na dworze jest przecież srogi mróz.

- Hm... Na śniegu nigdy tego jeszcze nie robiłam. A ty?

- Nie! - Shane ujął w dłonie jej twarz. - I nawet o tym nie myśl!

Jenny uśmiechnęła się i puściła do niego oko.

- Orły i to wszystko - rzekł surowo.

Jenny wysunęła się z jego objęć i zaczęła wkładać skarpety.

- Pospiesz się. Rusz ten swój piękny tyłeczek i ubieraj się.

- Piękny tyłeczek? - zaśmiał się Shane.

- A co? Myślisz, że nie zauważyłam?

- Nie, nie, po prostu nigdy tak o nim nie myślałem.

- To szkoda. Jest naprawdę piękny.

Ubierała się pośpiesznie, więc Shane starał się dotrzymać jej kroku.

Kiedy w końcu wyszli na dwór, Jenny nagle stanęła jak wryta.

- Czy ten widok może się kiedyś znudzić? - szepnęła i pociągnęła Shane'a za sobą. - Wybierz miejsce. -

Upadł tam, gdzie stał i zamarł w bezruchu.

- Hej, to nie tak! Rób orła! - krzyknęła i upadła obok. Zaśmiewając się, wymachiwała rękami i nogami.

Shane posłusznie robił, co mu kazała. Śmiał się głośno, ale w głębi duszy zastanawiał się, jak rozwinie się ta znajomość. Czy jeszcze kiedykolwiek będzie im ze sobą tak dobrze? Czy to tylko chwila, którą należy się cieszyć, dopóki trwa?

Zrobili jeszcze kilka orłów i dwie trzecie bałwana, kiedy palce u rąk i nóg tak im zeszywniały, że musieli wrócić do domu.

- Pomogę ci przenieść materac przed kominek - powiedziała Jenny, otrząsając się ze śniegu.

- Dobrze, ale zaraz potem zdejmij z siebie te mokre rzeczy.

- Z przyjemnością - odparła, unikając jego spojrzenia.

Tak, chciała znów się z nim kochać. Nawet jeśli nie to miał na myśli. Tylko jak długo jeszcze potrafi być z Shane'em, nie angażując się zbyt w ten związek? Owszem, udało im się uniknąć kłótni, kiedy rozmawiali o Kruku, ale czy zawsze tak będzie? Wcześniej czy później jego miłość do ludu, którego ona tak nienawidzi, położy się cieniem na ich znajomości. Powinna o tym pamiętać. I nie tracić głowy.

Odsunęli poduchy i na ich miejscu położyli materac. Potem zdjęli ubrania i ułożyli je na podłodze, by wyschły. Shane dorzucił do ognia kilka polan i oboje wsunęli się pod koc.

A kiedy ich usta się spotkały, Jenny zapomniała o wszystkich niepokojach i obawach.

Było już jasno, kiedy obudził ich warkot silnika. Usiedli i spojrzeli na siebie przerażeni.

- Josh? - spytała Jenny, przecierając oczy.

Shane ukląkł i wyjrzał przez okno.

- Obawiam się, że tak.

Szybko włożyli na siebie ubrania i właśnie wynosili materac, kiedy do pokoju wpadł Josh.

- Dzień dobry! - zawołał z chytrym uśmiechem. - Widzę, że jakoś przeżyliście tę noc.

Jenny i Shane wymienili spojrzenia. Udawali, że nic się nie stało, ale wiedzieli, że Josh nie da się nabrać.

- Przywiozłem jajka, bekon i kawę. Pomyślałem, że przed odjazdem chętnie coś przekąsicie.

Josh wyszedł na dwór i wrócił z dwiema ogromnymi torbami. Shane pomógł mu wnieść zakupy do środka.

Jenny stała bez ruchu. Miała nieruchomą niczym maska twarz, a duszę pełną obaw. Owszem, miniona noc była cudowna, ale głupotą byłoby liczyć na coś więcej.

Z ciężkim westchnieniem poszła do kuchni i dołączyła do mężczyzn.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po śniadaniu pożegnali się, osiodłali konie i ruszyli w drogę.

Shane od razu wysforował się do przodu. Potrzebował czasu, by wszystko przemyśleć. Jak powinien się teraz zachowywać wobec Jenny? Kiedy już ustali jakąś linię postępowania, będzie musiał rozwiązać o wiele poważniejszy problem. Najwyższy czas odpowiedzieć sobie na pytanie, co naprawdę czuje do tej skomplikowanej i na pozór tylko otwartej kobiety.

Podczas śniadania Jenny ani razu na niego nie spojrzała. Zajęta była jedzeniem i pogawędką z Joshem. Wydawało się, że wraz z nastaniem dnia zapomniała o wszystkim, co wydarzyło się w nocy. Tak to bywa! Rankiem często żałujemy swoich decyzji, podjętych pod wpływem chwilowego zauroczenia partnerem. Shane doświadczył tego na własnej skórze, ale tym razem było inaczej.

W miarę zbliżania się do rancza, był coraz bardziej wściekły. Nie tyle na Jenny, ile na samego siebie. Był idiotą, wyobrażając sobie, że minioną noc zmieni cokolwiek w ich stosunkach. Znał przecież uczucia Jenny wobec Kruka i wszystkich jego pobratymców. Ta na pozór nieistotna różnica zdań stała się przysłowiową kością niezgody. Jenny pielęgnowała swoją nienawiść przez ponad trzydzieści lat, czemu więc miałyby zmienić swe poglądy po jednej upojnej nocy?

Uznał, że na razie najlepiej będzie w ogóle nie myśleć o tym, co między nimi zaszło. Może z czasem nabierze dystansu do całej sprawy i będzie w stanie spojrzeć na wszystko chłodnym okiem. Zawsze przecież chełpił się swym zdrowym rozsądkiem i obiektywizmem. Ten jeden raz pozwolił, by uczucia wzięły górę nad rozumem.

Nigdy już nie popełni tego błędu.

Jenny wbiegła po schodach do swojego pokoju, odkręciła prysznic i zrzuciła ubranie. Musiała się natychmiast rozgrzać. A kiedy już przepędzi chłód nękający jej ciało, będzie czas na zajęcie się obolałą duszą.

Droga powrotna z powodu zasp trwała dużo dłużej niż zazwyczaj, Jenny miała więc dość czasu na rozmyślenia. Na farmie, w obecności Josha, łatwiej jej było przekonać samą siebie, że wysyła w stronę Shane'a właściwe sygnały. Jednak jego pełne rezerwy zachowanie utwierdziło ją w przekonaniu, że Shane bardzo żałuje tego, co wydarzyło się w nocy. Był milczący i ponury, przez całą powrotną drogę wyraźnie unikał jej towarzystwa.

Kiedy do oczu napłynęły jej łzy, nawet nie próbowała ich powstrzymać. W końcu wyszła z łazienki i, wykończona, opadła na stojący przy oknie fotel. Patrzyła, ale nic nie widziała.

Do tej pory to inni zawsze prosili ją o radę i pomoc w kłopotach. A do kogo mogłaby pójść ona? Spojrzała w niebo. Przez moment zastanawiała się, czy nie poprosić o pomoc Boga. Nigdy jednak tego nie robiła. Nie zwykła też dziękować Mu za cokolwiek.

I ty się zastanawiasz, czemu jesteś taka nieszczęśliwa? Jenny zamknęła oczy, bo ta myśl wcale jej się nie spodobała. Dość tego uzalania się nad sobą! Wszystko będzie w porządku. Po prostu była trochę roztrzęsiona i tyle. Przecież jej życie wcale nie jest takie złe; zdarzają się również chwile szczęścia.

Czyżby?

Czemu nie przyznać po prostu, że minione trzydzieści dwa lata to pasmo bolesnych porażek, nieustanna walka o niezależność, zmaganie się z obezwładniającym uczuciem gniewu. Jenny nie zaznała nigdy miłości ojca, a jej matka była zgorzkniałą, nienawidzącą całego świata kobietą. Czy mając

tak pozbawione radości dzieciństwo, można wyrosnąć na ufnego, otwartego i pogodnego człowieka?

Czy nie pora zmienić swój stosunek do otaczającego świata?

Przestała się bujać w fotelu i otworzyła oczy. Co też jej przychodzi do głowy? Jest po prostu zmęczona i... i...

Po policzku spłynęła samotna łza. Jenny wytarła ją ręką i spojrzała na zegar. Dochodziła jedenasta. W kuchni czekała na nią robota - i bardzo dobrze. Dość siedzenia i biadolenia. Przecież nie dzieje się nic takiego, czym należałoby się martwić. Przy pracy na pewno uda jej się zapomnieć o tych sentymentalnych bzdurach.

Jakiś cichy głos w jej wnętrzu szeptał, że się myli, ale zlekceważyła go, szybko się ubrała i zeszła na dół.

Shane przekazał swoje obowiązki robotnikom, a sam przez najbliższe dziesięć dni pomagał Joshowi na farmie.

Ponieważ Kruk jeszcze nie wrócił, Shane nie miał ochoty spędzać samotnych wieczorów w swojej chacie. Miałby zbyt dużo czasu na rozmyślanie o tym, co mogłoby być, gdyby Jenny zachowała się inaczej. Doszedł zatem do wniosku, że wbijanie gwoździ rozładuje jego frustrację... a kilkukilometrowa odległość od źródła jego paskudnego nastroju może choć trochę ukoi nerwy.

Kiedy już pomalowali ostatnią ścianę, w środę po południu Shane pożegnał się z Joshem i wrócił do siebie. Choć bolały go wszystkie mięśnie, był już trochę spokojniejszy. Udowodnił sobie, że wystarczy trzymać się z daleka od Jenny, by wszystko wróciło do normy. Wcześniej czy później zapomni wreszcie, jak to było, gdy kołysał ją w ramionach, gdy gładził jej jedwabiste włosy, gdy...

Zsiadł z konia i mruczając coś pod nosem, szedł właśnie do stajni, kiedy usłyszał warkot silnika starej półciązarówki

Kruka. Odetchnął z ulgą, bo już zaczynał się niepokoić przedłużającą się nieobecnością przyjaciela.

Indianin nie był sam. Razem z nim wysiadła z auta drobna, starsza kobieta. Shane nie pamiętał, by ktokolwiek odwiedzał Kruka na ranczu. A już na pewno nie ktoś z jego ludu, jak tym razem.

- Wejdz - rzekł Kruk, widząc wahanie Shane'a. - Zamknij drzwi. Rozpalę ogień. Ty zaparz herbatę. Potem porozmawiamy.

Kobieta zdjęła okrycie i w milczeniu, ze spuszczoną głową, usiadła przy stole. Widać było, że życie jej nie rozpieszczało. Nawet jeśli miała tyle lat co Kruk, wyglądała na dużo starszą.

Kiedy ogień już płonął i herbata była gotowa, Shane poczuł, że za chwilę stanie się coś ważnego.

- Shane - odezwał się Kruk - to jest Mary.

Jego spojrzenie było odpowiedzią na pytanie, którego Shane nie musiał już zadawać.

Mary była jedyną miłością w życiu starego Indianina.

- Miło mi cię poznać, Mary - rzekł z uśmiechem.

- Mary, to jest Shane - przedstawił go Kruk.

- Shane... Tak... Shane - powtórzyła słabym głosem staruszka.

Cała trójka siedziała w milczeniu, popijając herbatę. Shane czekał cierpliwie. Przypominał sobie, co Kruk opowiadał mu o swej miłości sprzed lat i o przyczynie, dla której w młodości opuścił rezerwat. Ojciec Mary obiecał ją innemu, a ona musiała podporządkować się jego woli. Kruk nie mógł tego znieść, więc odszedł. I od tamtej pory nie było w jego życiu żadnej kobiety.

- Czy Dobra Kucharka nadal tu jest? - spytał w końcu Indianin.

- Jenny? - Shane prawie zaniemówił ze zdziwienia. A co ona ma z tym wspólnego?

- Tak, Jenny.

- Jest... Tak, jeszcze jest. - W każdym razie tak mu się wydawało.

- Idź po nią. Przyprowadź ją tutaj.

Shane spojrział w oczy Kruka. Słowa Indianina nie zabrzmiały jak zwyczajna prośba, lecz jak wyraźny rozkaz.

- Co mam jej powiedzieć?

- Powiedz, że jest tu ktoś, kogo chciałbym jej przedstawić - odparł z lekką irytacją Kruk. Dla niego powód był przecież oczywisty.

Shane włożył kurtkę i wyszedł. Rozmyślnie wybrał dłuższą drogę. Jak przekonać Jenny, by się zgodziła? Nie rozmawiali ze sobą od...

Dobra Kucharka, jak nazywał ją Kruk, była oczywiście w kuchni. Kiedy usłyszała kroki, podniosła głowę i zdobyła się na ledwo dosłyszalne powitanie.

Zbierając się na odwagę, Shane nalał sobie kubek kawy. Wcale nie pragnął kłótni. Chciał nawet zażartować, powiedzieć tej dziewczynie, że nie jest jej wrogiem, ale kochankiem. Bał się jednak, że Jenny nie doceni jego dowcipu. Zajęta krojeniem marchewki, czasem spod oka spoglądała w jego stronę, ale nie było to spojrzenie ani serdeczne, ani zachęcające.

- Czy myślisz, że moglibyśmy znów ogłosić rozejm? - spytał, sam zaskoczony swymi słowami.

Ręce Jenny znieruchomiały.

- A kto mówi, że walczymy?

Nie dał się nabrać na jej pozornie obojętny ton. Owszem, walczyli w najlepsze. Zobaczył to w jej oczach.

Spojrział na kałużę roztopionego śniegu wokół swoich butów i przypomniał sobie rozkaz Indianina. Może Kruk wie,

co robi? Może kiedy Jenny lepiej pozna Indian, zmieni pogląd na ich temat, a nawet przestanie żałować, że jest jedną z nich? Najpierw jednak musi jakoś przekonać ją, by poszła z nim do chaty.

- Kruk ma gościa z rezerwatu - zaczął ostrożnie. Jenny na moment podniosła wzrok, potem odwróciła się i otworzyła piekarnik, w którym piekła jakieś mięso.

- Chce, żebyś poznała Mary.

- A to po co?

Shane wzruszył ramionami, udając obojętność.

- Nie powiedział. A czy to ważne? - Widząc jej wahanie, kuł żelazo, póki gorące. - Niezależnie od tego, jak cię wychowano, Jenny, jestem pewien, że umiesz się zachować. Mary jest starą kobietą, która nigdy nie była na ranczu. Chyba nie chcesz, abym powiedział jej, że nie masz ochoty jej poznać? Prawda?

W tym momencie wpadła do kuchni Hanna i na widok Shane'a przystanęła w progu. Spojrzała na niego i na Jenny, a potem szeroko się uśmiechnęła.

- Już w holu czułam tę pieczeń - powiedziała i rozejrzała się dokoła. - Widzę, że niewiele dla mnie zostawiłaś roboty, panienko. Idźcie na spacer, ja już sobie sama poradzę.

Nie czekając na odpowiedź, włożyła fartuch.

- No, na co czekasz? - spytała, widząc wahanie Jenny.

- Na Boże Narodzenie? No, już was nie ma! - Prawie wypchnęła ich z kuchni.

- No, dobrze, ale tylko na chwilę - rzuciła przez ramię zrezygnowana Jenny. - Mam jeszcze mnóstwo roboty.

A niech to diabli! Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, były pogaduszki z parą starych Indian. Już wolałaby pomóc Savannie w pakowaniu świątecznych prezentów.

Zatrzymała się dopiero w progu chaty. Jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że potem nic już nie będzie takie jak przedtem. Chciała się wycofać, ale Shane chwycił ją za łokieć.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Jenny strząsnęła jego rękę i wysoko uniosła brodę.

- No dobra, im szybciej to będę miała z głowy, tym lepiej - mruknęła i weszła do środka.

Na jej widok stara Indianka zbladła jak płótno.

- Ahpalaaxe! - szepnęła.

Kruk uspokajającym gestem położył rękę na jej ramieniu.

- Baaleetaa... baaaakiiia - rzekł cicho.

Zaskoczona Jenny spojrzała na równie zdziwionego Shane'a. On jednak szybko doszedł do siebie i pomógł dziewczynie zdjąć kurtkę.

- Kruk mówi, że jesteś cudowna.

Indianin, wyraźnie dumny, że Shane rozumie ich rozmowę, wskazał Jenny krzesło obok Mary.

- Iia... aalannuxche. - Kobieta, wciąż nieco oszołomiona, wskazała najpierw usta, potem czoło Jenny.

Jenny poczuła narastający niepokój. Nic już nie będzie takie jak przedtem. Chciała jak najszybciej stąd uciec, ale nie była w stanie się ruszyć.

- Co ona powiedziała? - wyjąkała przez ściśnięte gardło.

- Coś o twoich ustach i czole - odparł Shane.

On też był wyraźnie zakłopotany.

- Nie, przedtem.

Shane spojrzał na kamienną twarz Kruka.

- Powiedziała „Duch”.

Teraz wszyscy patrzyli na Kruka, jakby to on posiadał klucz do tej tajemnicy.

Stary Indianin wskazał najpierw ręką Jenny.

- To jest Jenny Moon. Jenny Howls at the Moon.

Po twarzy kobiety płynęły już strumienie łez.

- Jenny, to jest moja przyjaciółka, Mary. Mary Howls at the Moon. Twoja babka.

Twoja babka?! powtórzyła w myślach jego słowa Jenny, ale wciąż nie docierał do niej sens tej wypowiedzi. To pewnie błąd w tłumaczeniu. Przecież to niemożliwe...

Czuła, jak pokój wiruje jej przed oczami. Zerwała się od stołu, przewracając krzesło. Podniosła je i chwyciła się za jego oparcie, jakby była to jej ostatnia deska ratunku.

Kiedy Shane położył rękę na jej ramieniu, natychmiast ją strąciła. Co to za wygłupy? Czy w ten sposób chcą zmienić jej stosunek do Indian? Czując, że za chwilę wybuchnie gniewem, ze złością spojrzała na Shane'a.

- Kiedy to wszystko zaplanowałaś? Przed czy po...?

- Jenny, proszę, usiądź i pozwól im wszystko wytłumaczyć. Jestem pewien, że zaraz zrozumiemy, o co tu chodzi.

My? My? Akurat. Po co udaje, skoro sam uknuł tę intrygę?

- Co ci szkodzi posłuchać?

Nic już nie będzie takie jak przedtem. Jenny zamknęła oczy i rękami zasłoniła uszy. Przed słowami Shane'a, ale i przed swym wewnętrznym głosem. Jednak ciekawość zwyciężyła.

Odetchnęła głęboko i z rezygnacją usiadła przy stole. Unikała wzroku płaczącej Indianki.

- Zacznę od początku, dobrze? - spytała kobieta i dopiero kiedy Jenny skinęła głową, mówiła dalej. - Wielki Duch pobłogosławił mnie pięknym synem. Przez wiele lat dziecko było całym moim życiem. - Mocno chwyciła Kruka za rękę, i to dodało jej odwagi. - Kruk był moim ukochanym... kiedy byliśmy dziećmi. Ale mój ojciec wysoko cenił sobie honor. Obiecał swoją pierwszorodną córkę człowiekowi, który kiedyś ocalił mu życie. Błagałam, by tego nie robił, ale nie miałam

siostry, która mogłaby zająć moje miejsce. Musiałam wypełnić wolę ojca. Posłałam syna do szkoły w Hardin. Mąż był bardzo zły, że nasze jedyne dziecko opuściło rezerwat dla świata białych ludzi. Ale ja chciałam, by mój syn zdobył to, czego ja nie miałam - wykształcenie.

Wbrew sobie Jenny czuła coraz większe współczucie dla tej starej kobiety.

- Tam poznał pewną białą kobietę, która przyjechała w odwiedziny do koleżanki. Kiedy powiedział, że pokochał białą, mąż zakazał mu się z nią widywać. Wkrótce potem syn zadzwonił i powiedział, że ją poślubił i że wyjeżdżają z Montany.

Jenny mocno zacisnęła ręce na brzegu stołu. Chciała zapytać, dokąd się przenieśli, ale przecież знаła odpowiedź. Wiedziała też, że Mary mówi prawdę. A jednak wzdragała się przed przyjęciem tego do świadomości. Nie ma żadnego dowodu, że są z Mary spokrewnione. Ani razu nie padło imię jej ojca: Sam. Zresztą wielu Indian żeni się z białymi kobietami.

- Bardzo długo nie miałam od niego żadnych wiadomości. Czasem dzwonił do przyjaciół w rezerwacie, a oni mówili mi, że u niego wszystko dobrze.

Wyraźnie zmęczona, Mary przerwała i spuściła głowę. Kiedy Kruk podał jej kubek z herbatą, zaczęła popijać ją maleńkimi łyżkami. W końcu odstawiła kubek i spojrzała prosto na Jenny. Potem wyciągnęła ku niej swą drżącą, pomarszczoną dłoń. Jenny nie mogła jej nie uścisnąć. I w tym momencie zrozumiała, że jej wewnętrzny głos miał rację. Nic już nie będzie takie samo. I ona nie będzie taka sama. Ta kobieta... ta Indianka... jest teraz jej jedyną krewną.

Głos Mary dochodził teraz do niej jak z jakiegoś głębokiego tunelu. Słowa jednak brzmiały jasno i wyraźnie. Jej syn miał na imię Sam. Przyjechał do rezerwatu, kiedy

dowiedział się o chorobie ojca. Powiedział matce, że zamierza wracać do Michigan, do swojej żony. To dlatego ojciec nie chciał z nim rozmawiać i umarł, zanim zdążyli się pojednać. Wieczorem po śmierci ojca Sam upił się i wjechał autem na drzewo.

- Wydawało mi się, że tego dnia straciłam wszystko... We wrześniu minęły trzydzieści trzy lata od tego tragicznego dnia - zakończyła swoją opowieść kobieta.

Jenny siedziała jak skamieniała, porażona odkrytą prawdą o swym ojcu.

- Kiedy wypadają twoje urodziny? - Chyba tylko Mary miała jeszcze jakieś wątpliwości.

- Czwartego kwietnia. Mam trzydzieści dwa lata. Indianka wyciągnęła drugą rękę i Jenny też ją ujęła. Miała wrażenie, że śni i nie może się obudzić.

- Sam nie powiedział mi, że jego żona spodziewa się dziecka. Pewnie dlatego, że nie zdążył.

Jenny była pewna, że syn, o którym opowiada Mary, na pewno by tak zrobił. Wciąż jednak syn Mary i mąż jej matki byli dla niej dwiema różnymi osobami. W jej głowie aż roiło się od pytań, ale tylko jedno udało jej się sformułować.

- Cz... czy rozmawiałaś z moją matką o wypadku... - Nie była w stanie powiedzieć „mojego ojca”, powiedziała więc: - ... twojego syna?

Mary pokręciła głową.

- Nigdy mi nie powiedział, gdzie zamieszkał z żoną po ślubie. Od jego przyjaciół dowiedziałam się, że w Michigan, ale nikt nie znał dokładnego adresu. Modliłam się, by jego żona mnie odnalazła... ale tak się nie stało. - Staruszka mocno ścisnęła dłonie Jenny. - Wreszcie jednak moje modlitwy zostały wysłuchane. Znów widzę Sama... w tobie.

Jenny poczuła na ramionach ręce Shane'a. Nawet nie wiedziała, jak długo ją obejmował. Zupełnie zapomniała, że i

on jest w tym pokoju. Ucieszyła się, że jest teraz przy niej. Chciała wracać do domu, ale nogi miała jak z waty. Zamknęła oczy. Nie mogła znieść spojrzenia tej delikatnej, cichej kobiety. Mary najwidoczniej czegoś od niej oczekiwała. I niewątpliwie ta doświadczona przez los kobieta zasługiwała na odrobinę ciepła i uczucia, ale Jenny nie była w stanie jej tego dać. W tej chwili marzyła tylko o chwili samotności. Miała wiele spraw do przemyślenia i obecność innych ludzi działała jej na nerwy.

- Może dokończymy rozmowę jutro? - zaproponowała Mary, jakby czytała w myślach Jenny.

Jenny skinęła głową i wstała, wspierając się na ramieniu Shane'a. Nie odwracając się, szepnęła:

- Tak. Jutro.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Babciu? - Jenny wyszeptała to słowo w ciemności swego pokoju, wsłuchując się z natężeniem w jego brzmienie.

Leżała pod kołdrą w ubraniu, a mimo to wciąż drżała. Nie potrafiła pozbierać myśli po rozmowie z Mary. W nogach łóżka leżał dodatkowy koc, ale rozłożenie go wymagało energii, a chwilowo Jenny była jej zupełnie pozbawiona. Kiedy zaczęła szcząkać zębami, podciągnęła po prostu kołdrę aż pod brodę. Może powinna pozwolić Shane'owi wejść na górę? Proponował jej to. Zamknęła oczy i znów poczuła na swoim ramieniu jego delikatny uścisk. Nie powinna odrzucać pomocy Shane'a. Jego jedyną winą była miłość do ludzi, których ona...

Nie dokończyła myśli. Słowo „nienawiść” nie odzwierciedlało już jej prawdziwych uczuć. O ileż łatwiej było hodować w sercu zapięklą złość, niż zmagać się z emocjonalnym chaosem, który zawładnął jej duszą.

Gdyby tylko żyła jej matka, Jenny natychmiast zasypałaby ją gradem pytań. Czy wiedziała, że jej mąż umarł i tylko dlatego do nich nie wrócił? Na pewno nie, bo przecież powiedziałyby o tym córce. Ale czy choć próbowała skontaktować się z jego rodzicami? Raczej nie.

Mama była bardzo uparta, więc z pewnością nie zdobyła się na odszukanie ludzi, którzy ją kiedyś odrzucili. Nigdy nie była skłonna do zwierzeń, ale zawsze twierdziła, że urodzenie córki nie było pomyłką, że Jenny od pierwszego dnia była dzieckiem chcianym i kochanym. Czy nie powinna więc zapomnieć o urażonej dumie i mimo wszystko odnaleźć teściów?

Jenny szukała w myślach jakiegoś wytłumaczenia i wtedy przypomniała sobie coś, co powiedziała Mary. Jej syn zawsze dzwonił do jednego ze swoich przyjaciół w rezerwacie, a ten przekazywał wiadomości rodzicom Sama. Może dziadkowie

nie mieli telefonu? A jeśli ojciec dzwonił z publicznych aparatów, to mama mogła nawet nie znać imienia tego przyjaciela ani jego numeru.

A może matka zawsze była osobą niechętną całemu światu i to, co się wydarzyło, utwierdziło ją tylko w takim podejściu do życia.

Jenny wtuliła się w poduszkę i z trudem, przez ściśnięte gardło, przełknęła ślinę. Szkoda, że nie ma już nikogo, kto mógłby odpowiedzieć jej na te pytania. Ale mama była jedynaczką, a jej rodzice dawno umarli. I Jenny do dziś myślała, że nie ma już na świecie nikogo bliskiego.

I Mary, dobra, smutna Mary, też tak o sobie myślała...

Babcia! Jakie to dziwne myśleć o tej obcej osobie jako o krewnej.

Postanowiła jak najszybciej dowiedzieć się wszystkiego o swojej... babci.

Przez całe życie potrafiła bezbłędnie przeczuć, co przyniesie najbliższa przyszłość. Na przykład, że Savanna nigdy nie wróci z Montany. Ufała swej intuicji, bo ta nigdy jej nie zawiodła.

A teraz nie mogła sobie poradzić z własnymi uczuciami. Nie, wszystko będzie dobrze. Potrzeba jej tylko trochę czasu i odrobinę snu, by odzyskać dawną formę. Znow będzie niezależną, pewną siebie osobą.

Hanna postanowiła, że sama poda śniadanie i kazała Jenny usiąść przy stole z całą rodziną.

Jedyne wolne miejsce było koło Shane'a, więc nie miała wielkiego wyboru. Usiadła sztywno na krześle i rozłożyła na kolanach serwetkę.

Ledwo Max skończył modlitwę, jadalnię wypełnił brzęk sztućców i talerzy oraz gwar rozmów. Wszyscy mówili o prezentach, zakupach i prognozach, zapowiadających dalsze opady śniegu.

Jenny jadła w milczeniu, szczęśliwa, że nikt nie wciąga jej do rozmowy. Wokół niej życie toczyło się jak zwykle, jakby był to kolejny, normalny dzień. Może dla nich, ale dla niej na pewno nie. Próbowwała sobie przypomnieć, jak czuła się wczoraj o tej porze, ale nie potrafiła. Wiedziała tylko, że nie jest już ani Jenny Moon, ani Jenny Howls at the Moon, tylko kimś innym, zawieszonym w próżni.

- Lepiej się dziś czujesz, Jenny?

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Savanna do niej kieruje to pytanie.

- Tttak - wyjąkała, kiedy wszyscy zamilkli i spojrzeli w jej stronę. W tym samym momencie poczuła na kolanie rękę Shane'a i zrozumiała, że nie jest sama ze swymi myślami.

- Bardzo się zaniepokoiłam, kiedy wczoraj Shane powiedział nam, że postanowiłaś wcześniej się położyć. Jesteś pewna, że nie dopada cię jakaś choroba?

Jenny spojrzała na zmartwioną twarz przyjaciółki i pokręciła głową.

- Nic mi nie jest. Naprawdę. Jestem zdrowa jak rydz. Tylko chce mi się spać. Nie przywykłam do spędzania zimą tyle czasu na powietrzu.

Savanna nie wyglądała na przekonaną. Zakłopotana Jenny grzebała widelcem w talerzu. Kiedy Shane zmienił temat, powitała to z ulgą.

- Josh... kiedy masz zamiar wziąć się do malowania?

- Chyba dopiero w przyszłym tygodniu. Najpierw muszę posprzątać i dokładnie pozamiatać. A potem trzeba się będzie zająć przygotowaniem do wielkiej gali, na którą zaprosił nas ojciec.

Ryder aż jęknął.

- Tato... naprawdę musimy się odstawić? We fraki, nie daj Boże?!

- Nie - roześmiał się Max. - Ja, co prawda, będę we fraku, ale wam wystarczą garnitury.

- A to oznacza włożenie krawata, co? - mruknął Ryder.

- Nie wygłupiaj się - skarciła go Savanna. - Będziesz wyglądał wspaniale.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet Shane, który poklepał Jenny po kolanie.

Kiedy na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały, oboje zrozumieli, że myślą o tym samym. O ludziach w chatce przy stajniach i o historii, którą usłyszeli tam poprzedniego wieczora.

Gdyby tylko Jenny potrafiła objąć Mary i cieszyć się nowiną. Jak jednak mogłaby przekreślić trzydzieści dwa lata złości i goryczy? Matka codziennie uczyła ją nienawiści do wszystkiego, co indiańskie.

- Jenny? - przerwała jej rozmyślania Savanna. - Co ty na to, żebyśmy posprzątały kuchnię, a potem ubrały choinkę w salonie?

I wtedy dowiem się, o co naprawdę chodzi. Tego przyjaciółka już nie powiedziała głośno, ale Jenny wyczytała to w jej spojrzeniu.

- Wiesz, to chyba dobry pomysł - odparła po chwili.

- Nie pozwolę ci przecież wchodzić na drabinę.

- A ja? - wtrącił się zarumieniony z podniecenia Billy.

- Lubię wspinać się na drabinę i obiecuję, że będę uważał.

Savanna wyglądała na niezdecydowaną, więc Jenny odpowiedziała za nią:

- Oczywiście, Billy. To bardzo duże drzewo i pomoc na pewno nam się przyda. A reszta? - spytała, rozglądając się dokoła. Im więcej ich będzie, tym lepiej. Nie czuła się jeszcze na siłach, by opowiedzieć Savannie o wczorajszym wieczorze.

- Ja nie - rzekł Josh. - Zaraz wracam na farmę. - Odsunął krzesło i wziął talerz.

Ryder, Shane i Max poszli w jego ślady. Każdy miał coś pilnego do zrobienia, zapewne ciekawszego niż ubieranie choinki.

Savanna i Jenny wypchnęły Hannę z kuchni i błyskawicznie posprzątały. W obecności Billy'ego musiały ograniczyć rozmowę do pogaduszek o niczym.

Potem, objuczeni pudłami ozdób i lampek, przeszli do salonu. Billy od razu wspiął się na wyższą od niego dwukrotnie drabinę. Mimo że było ich troje, samo powieszenie światełek zajęło im godzinę. Entuzjizm dziecka wyraźnie osłabł.

- Może pójdę trochę pomóc tacie? - zaproponował w końcu.

Savanna ani myślała go do tego zniechęcać. Będzie wreszcie okazja, by porozmawiać z Jenny w cztery oczy. Teraz albo nigdy.

- No, mów - rozkazała, ledwo za małym zamknęły się drzwi. - I nie pomijaj żadnych szczegółów - dodała z uśmiechem.

Jenny westchnęła ciężko i trochę wbrew sobie zaczęła opowieść. Z początku ważyła słowa, często milkła, wkrótce jednak wyrzuciła z siebie wszystko. Wszystko oprócz tego, co zaszło między nią i Shane'em.

Savanna słuchała jej z szeroko otwartymi oczami. Kiedy przyjaciółka zamilkła, podbiegła do niej i mocno ją do siebie przytuliła.

- Och, Jenny, kochana. To przecież cud! - powtarzała, a z jej oczu płynęły strumienie łez.

Im była bliższa rozwiązania, tym częściej jej się to zdarzało.

- To właśnie powiedziała wczoraj... - Jenny chciała powiedzieć „babcia”, ale nie potrafiła. Jeszcze nie. - Mary.

- Mam znakomity pomysł! - Savanna odsunęła się i spojrzała z uśmiechem na przyjaciółkę.

- Aż boję się zapytać.

- To ubieranie jakoś wolno nam idzie. Może spytamy Mary, czy ma ochotę nam pomóc? Poza tym nie mogę się już doczekać, kiedy ją poznam.

Jenny wzięła do ręki błyszczący łańcuch i przez chwilę bardzo uważnie mu się przyglądała. Przecież rzeczywiście powinna spędzać z Mary jak najwięcej czasu, jeśli chce lepiej ją poznać. A w obecności Savanny na pewno będzie się czuła mniej skrępowana.

- Dobrze - powiedziała i odłożyła łańcuch do pudełka.

- Weź płaszcz i idziemy. - Kiedy zauważyła, że skrzywiona Savanna masuje sobie krzyż, zmieniła zdanie. - Nie, ty usiądź i odpocznij, a ja sama po nią pójde.

- Nie wygłupiaj się. Nie potrzebuję odpoczynku. Zresztą chcę przywitać się z Krukiem... Z tym starym spryciarzem. - dodała. - Wiesz, Ryder mi mówił, że dotąd nie widział go z żadną kobietą, ale nie sądzisz, że na miłość nigdy nie jest za późno? - Włożyła płaszcz, który zrobił się o wiele za ciasny i spojrzała na przyjaciółkę. - A skoro już o miłości mowa... Czy wiesz, że Shane nocował dzisiaj w tym domu? Właśnie ze względu na wizytę Mary. Tak jest dużo wygodniej, nie sądzisz?

- Wygodniej dla kogo? - Jenny oczywiście wiedziała, co Savanna ma na myśli, ale wołała teraz o tym nie rozmawiać. Jej nowa tożsamość i odnaleziona babka aż nadto zaprzętały jej głowę.

Mimo to w drodze do stajni cały czas miała przed oczami to, co wydarzyło się w domku Josha. Nazajutrz była pewna, że to się już nigdy nie powtórzy, teraz jednak wszystko uległo zmianie. Ona w dziwny sposób odnalazła rodzinne korzenie, związane z Montaną i Indianami, a Shane zamieszkał z nią

pod tym samym dachem. Wszystko więc zmierzało ku temu, by...

Gdyby tylko Shane odważył się jej zaufać. To wszystko przez nią! Przecież nie zasłużył sobie na takie traktowanie. Jenny winiła siebie w duchu za opryskliwość i kłótniowość. Shane tylko bronił ludzi, których ona serdecznie nienawidziła.

Nienawidziła? Skąd ten czas przeszły?

Stojąca obok Savanny Mary wynajdywała puste miejsca na choince i wskazywała je Jenny.

- A więc potem już nigdy nie wyszłaś za mąż? - dopytywała się Savanna. Rozmowa ze starą Indianką nie sprawiała jej najmniejszego trudu.

- Nie. Długo z nikim nie rozmawiałam. Nawet z Wielkim Duchem. Zamknęłam się w sobie i w swoim gniewie. Któregoś dnia postanowiłam z tym skończyć. Poszłam więc do kościoła, spotkałam dawnych przyjaciół i poczułam się lepiej.

- Widywałaś w tym czasie Kruka?

Mary uśmiechnęła się nieśmiało i spuściła oczy.

- Tak. Kilka razy przyjeżdżał do rezerwatu. Rozmawialiśmy o dawnych czasach.

- Więc pewnie dzwoniście czasem do siebie?

- Nie. Nigdy nie miałam telefonu. Nie lubię hałasu. Kiedy chcę porozmawiać, szukam jakiegoś przyjaciela. Podaję herbatę z ziół i zaczynam pogawędkę.

- O! A wiesz, że Jenny uczy się zielarstwa?

Jenny wciąż myślała o tym, że jej babcia nigdy nie miała telefonu i omal nie umknęła jej uwagi wzmianka o ziołach.

Mary spojrzała na wnuczkę.

- To dobrze. - Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Indianka uśmiechnęła się.

- Jest jeszcze coś, czego o niej nie wiesz. - Savanna mrugnęła do przyjaciółki i wyciągnęła z cylindra następnego królika. - Jenny jest jasnowidzką.

- Co to znaczy?

- Przewiduje rzeczy, które zdarzą się w przyszłości. Mary upuściła na podłogę trzymany w ręku papierowy dzwoneczek.

- O! - Schyliła się szybko, podniosła go i nerwowo obracała w swych powykrzywianych, drżących palcach.

Savanna mocno uścisnęła dłonie Indianki.

- Mary, wszystko w porządku?

Indianka spojrzała na Jenny, a potem na Savannę.

- Czy powiedziałam coś złego? - Savanna była wyraźnie zaniepokojona.

Mary pokręciła głową. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Ja też widzę różne rzeczy - wyszeptała. - I moja matka je widziała... i jej matka.

Jenny spojrzała w oczy Mary i zrozumiała, że zaszło coś ważnego, co być może będzie miała wpływ na ich stosunki.

- To niesamowite! - krzyknęła Savanna.

Jenny chciała zachować powagę, ale w końcu poddała się ogarniającym ją uczuciom. Też wybuchnęła śmiechem. A Savanna aż musiała wybiec do łazienki.

Jenny po raz pierwszy została sam na sam z Mary.

Stara Indianka spoważniała i spojrzała na stojącą na drabinie kobietę.

- Jesteś dla mnie bardzo cennym darem, moja wnuczko - szepnęła.

Jenny bała się, że jeśli teraz spojrzy na Mary, to jej śmiech przerodzi się w płacz.

„Podejdź do niej”.

Znow ten głos... Równocześnie poczuła, jak jakaś niewidzialna siła zmusza ją do działania. Zeszła o jeden szczebel niżej i wtedy do pokoju wróciła Savanna.

- Przepraszam was. Mój pęcherz jest teraz mały jak orzeszek - zaszczębiotała. - Straciłam coś ważnego?

Jenny wróciła na swoje miejsce na drabinie, udając, że poprawia jakąś obłuzowaną lampką. Czar prysnął, ale dziewczyna wiedziała, że wkrótce przyjdą następne takie chwile. Jeśli jeszcze miała jakieś wątpliwości co do swego pokrewieństwa z Mary, teraz pozbyła się ich na dobre.

Ta kobieta bez wątpienia jest jej babką. I w dodatku ta świadomość sprawiła Jenny ogromną radość.

Mary wróciła na kolację do chaty Kruka, zaś Savanna była tak zmęczona, że zaraz po zmywaniu położyła się do łóżka. Shane oznajmił, że wybiera się do Josha. Obiecał jednak, że obaj wrócą w porę, by przebrać się przed wyjazdem na bankiet zorganizowany na cześć Maksa. Hanna jak zwykle oglądała telewizję w swoim pokoju, a Billy namówił Rydera, by poczytał mu coś na dobranoc.

Jenny weszła do salonu i stanęła obok choinki. W panującej ciszy wspominała wydarzenia dzisiejszego popołudnia.

- Dobra robota, dziewczynki.

Głos Maksa raptownie wyrwał ją z zadumy.

- Pierwszy raz ubierałam tak olbrzymie drzewo - przyznała. Jej wzrok powędrował w stronę kominka, na którym płonął ogień. - Twój dom jest taki piękny. Dziękuję, że zechciałeś mnie tu gościć.

Max przełożył do prawej ręki telefon komórkowy i uważnie przyjrzał się Jenny.

- To ja powinienem ci dziękować! Wszyscy się cieszą, że jesteś z nami, a w dodatku bardzo nam pomagasz. - Zrobił krok w jej stronę i położył jej rękę na ramieniu. - Moja oferta nadal jest aktualna. Zawsze czeka tu na ciebie praca i dom... jeśliś kiedyś zmieniła zdanie.

- Dziękuję. Obiecuję, że się zastanowię.

- Bardzo dobrze. Wszyscy by się cieszyli. Czuj się jak u siebie - dodał, przystając w progu. - Jeśli masz ochotę na drinka, nie krępuj się. Idę do siebie naładować telefon. Dobranoc.

Jenny ciężko westchnęła i usiadła na kanapie przed kominkiem.

Czy naprawdę wszyscy by się cieszyli, gdyby została? Nawet Shane? Czy potrafiliby mieszkać tak blisko siebie i pozostać przyjaciółmi? Ona bardzo w to wątpiła. Choć bezustannie wmawiała sobie, że połączyło ich tylko chwilowe pożądanie, nie potrafiła się już dłużej oszukiwać. Prawda bowiem była taka, że Shane wzbudził w niej uczucia, jakich jeszcze nigdy przedtem nie doznała. Ale czy wybaczy jej, że potraktowała go jak jednonocną przygodę?

Nie mogła usiedzieć na miejscu, więc wstała i podeszła do ognia. Owszem, chętnie by tu została. To piękny dom, położony w cudownej okolicy. Byłaby blisko Savanny i jej rodziny, mogłaby obserwować, jak rośnie jej dziecko, poznałaby lepiej Mary...

Ze spuszczoną głową wyszła z salonu i powlokła się na górę. Tylko jedna rzecz stała na przeszkodzie: Shane. Gdyby udało im się zacząć wszystko od nowa, wtedy z radością zamieszkałaby w Montanie. Ale nie zamierzała zadowolić się byle czym. Wszystko albo nic - właśnie tą zasadą powinna się kierować.

Wiedziała, że Shane jest tym właściwym mężczyzną. Że tylko jego będzie w stanie kochać - otwarcie i szczerze. Tylko jemu potrafiłaby zaufać.

Tak jak obiecali, Josh i Shane przyjechali w piątek po południu. Zdążyli tuż przed śnieżycą i mieli jeszcze dość czasu, by wziąć prysznic i przebrać się. Ryder i Max usłyszeli ich i wszyscy spotkali się w salonie, gdzie Savanna i Jenny

siedziały na kanapie. Przyszła matka otuliła się poduszkami, a opuchnięte nogi ułożyła na niskim taborecie.

Ryder usiadł obok żony i wziął ją za rękę.

- Wyglądasz tak, jakbyś już nie mogła się doczekać dzisiejszej imprezy - zażartował.

- Myślisz, że ktoś zauważy, jeśli pójdę boso? - Savanna próbowała wstać, ale natychmiast z jękiem opadła ponownie na kanapę.

- Co się stało? - Ryder ukląkł przed nią, wyraźnie zaniepokojony.

- Jestem w ciąży! Nie zauważyłeś?

- Jeśli nie czujesz się na siłach, to lepiej zostań w domu - zwrócił się do niej Max.

Savanna przez cały dzień była nieswoja i Jenny była pewna, że podróż do miasta przekracza jej siły.

- Wiesz co? Zostaniemy obie. - Savanna chciała zaprotestować, ale Jenny nie dopuściła jej do głosu. - I tak nie mam się w co ubrać na dzisiejszy wieczór. Nie wzięłam żadnej eleganckiej sukienki. Zresztą, już tak dawno nie miałyśmy okazji, żeby poplotkować, nie uważasz?

- Jenny ma rację - poparł ją Ryder. - Pewnie będziecie się lepiej bawić niż my. Billy nocuje u Kruka, więc nikt wam nie będzie przeszkadzał. Może nie zauważyłaś, ale zaczyna coraz bardziej padać. Nawet dżipem Shane'a droga w jedną stronę zajmie nam parę godzin. A to znaczy, że wrócimy bardzo późno.

- Dobrze, dobrze - zgodziła się w końcu Savanna. - Poświęcę się i zostanę.

- Znakomicie. - Ryder odetchnął z ulgą. - Od razu poczułem się lepiej.

- Szczęściarzem z ciebie - zaśmiała się Savanna. - Idźcie się szykować. Przecież przy was nie będziemy plotkować.

Kiedy zostały same, Savanna spojrzała na przyjaciółkę.

- Przykro mi, że zepsułam ci wieczór.
- Nie żartuj! Jeśli nie zaśniesz, urządzimy sobie świetną zabawę.

- Nawet gdybym chciała, to i tak nie mogłabym się zdrzemnąć. - Savanna wsunęła pod plecy jeszcze jedną poduszkę. - Chyba rzeczywiście trochę przesadziłam z pracą. Krzyż mi pęka.

- Może przyniosę ci elektryczną poduszkę?

- Nie, nie trzeba. Wystarczy, że przez cały wieczór będziesz mi usługiwała.

- Umowa stoi - zaśmiała się Jenny. - Może więc na początek ugotuję kakao?

- Pyszny pomysł.

- Zaraz wracam.

W kuchni ustawiła na tacy talerz z ciasteczkami Hanny i dwa kubki z kakao. Właśnie wkładała do nich maleńkie bezy, kiedy w progu stanął Shane.

- Fiu, fiu! - gwizdnęła na jego widok.

- Szkoda, że nie jedziesz z nami, choć to może i lepiej. Chciała spytać, dlaczego tak uważa, ale wtedy w holu zjawili się pozostali mężczyźni, wystrojeni jak na prawdziwy bal.

- Gotowi? - spytał Max.

- Tak. Ruszamy. - Ryder pocałował Jenny w policzek.

- Dzięki, że zostajesz z Savanną.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Mam dziwne wrażenie, że czegoś zapomniałem - mruknął Max, klepiąc się po kieszeniach.

- A masz kartkę z przemówieniem? - spytał Josh.

- Tutaj. - Max wskazał wewnętrzną kieszeń swego fraka.

- Chyba po prostu jestem zdenerwowany. - Wzruszył ramionami.

- Wygłosiłeś już setki przemówień. Wszystko będzie dobrze... jeśli tylko tam dojedziemy. - Josh pociągnął ojca za rękaw.

Gdy wyszli, Jenny zaniósła tacę do salonu.

- Gratuluję ci towarzystwa - parsknęła śmiechem Savanna, którą z drzemki wyrwały dopiero kroki przyjaciółki.

Jenny podała jej kubek z kakao i pogładziła czule po głowie.

- Wypij, maleńka. Od razu poczujesz się lepiej.

- Mam nadzieję, bo czuję się rzeczywiście kiepsko. Który jest dzisiaj? - spytała nagle.

- Czwarty. Czemu pytasz?

- Jeszcze cztery tygodnie - westchnęła Savanna. - Coś mi mówi, że to będzie najdłuższy miesiąc w moim życiu.

Jenny jadła ciasteczko i patrzyła, jak przyjaciółka masuje sobie brzuch. Coś, co przed chwilą usłyszała, nie dawało jej spokoju.

Potem przed oczami stanęła jej kartka z kalendarza z zakreśloną datą: drugi grudnia.

Drżącą ręką sięgnęła po kubek i wypila łyk gorącego napoju.

To przecież tylko dwa dni, próbowała uspokoić samą siebie.

Owszem, tyle tylko, że zawsze miesiączkowała z podręcznikową wręcz regularnością.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Minęła godzina od wyjazdu mężczyzn, kiedy Savanna w końcu wyciągnęła z Jenny całą prawdę o tym, co wydarzyło się w starej chatce. I w dodatku wcale nie była zdziwiona tym, co usłyszała.

Jenny podeszła do kominka i dołożyła kilka polan do przygasającego ognia. Nie opowiedziała przyjaciółce wszystkich szczegółów. Przede wszystkim nie wspomniała o tym, że kochali się bez zabezpieczenia. Nie dlatego, że spodziewała się reprimendy. Po prostu sama była zbyt wytrącona z równowagi opóźniającym się okresem. Dopóki nie zrobi sobie testu, nie powie o tym przyjaciółce. Zresztą zanim dotrze do sklepu, sprawa najprawdopodobniej będzie już nieaktualna.

- Chyba niepotrzebnie martwisz się, że Shane nie zechce ci wybaczyć - powiedziała Savanna, kiedy Jenny odeszła od kominka. - Obserwowałam, jak na ciebie patrzy. Myślę, że jest zadurzony.

- Zadurzony? - zaśmiała się Jenny. - Mówisz jak Hanna. - Nie mogła usiedzieć na miejscu, więc znów wstała i odstawiła na tacę puste kubki. - Chcesz jeszcze trochę kakao?

- Pewnie.

- Przy okazji zajrzę do Hanny. Może i ona się napije. A ty się zdrzemnij. Twojej bujnej wyobraźni też przyda się trochę odpoczynku.

- Ale najpierw po raz kolejny odwiedzę toaletę - mruknęła Savanna.

Shane zwiększył tempo pracy wycieraczek. Widoczność była coraz gorsza.

- Przy następnym znaku stop skręć w prawo - rzekł Max, nachylając się do przodu. - To drugi budynek po lewej... Tam na pewno znajdziemy miejsce do zaparkowania.

- Jak myślisz, ile to potrwa? - spytał Ryder. - Nie podoba mi się ta śnieżyca.

- No, cóż jesteśmy trochę spóźnieni, więc przypuszczam, że kolacja zaraz się zacznie. Potem ja jestem pierwszy na liście. - Max uspokajająco poklepał syna po ramieniu. - Zaraz potem będziemy mogli wyjść. Jestem pewien, że przy tej pogodzie wszyscy nas zrozumieją.

Shane spojrzał we wsteczne lusterko. Widział, że brat jest naprawdę zdenerwowany. Choć do porodu pozostał jeszcze miesiąc, niepokój Rydera był w pełni uzasadniony.

Jenny postawiła czajnik na gazie i poszła do Hanny. Gospodyni siedziała w łóżku, oparta o poduszki, i oglądała telewizję.

- Robię kakao. Może i ty się napijesz?

- A wiesz, że chętnie! I przy okazji przynieś trochę ciasteczek.

- Już się robi.

Jenny szybko przygotowała smakołyki, zaniósła je Hannie i wróciła do salonu, gdzie Savanna stała przy kominku, masując plecy.

- Może ja ci zrobię masaż? - zaproponowała Jenny.

- Spróbuj, ale chyba po prostu muszę polubić ten ból - uśmiechnęła się słabo Savanna.

Jenny przez chwilę ostrożnie, ale zdecydowanie masowała krzyż przyjaciółki.

- Dzięki - powiedziała po paru minutach Savanna. - Chyba znów usiądę. Za dużo dziś chodziłam.

- No to siadaj i wypij trochę kakao. Zdaje się, że poprzednio przyniosło ci ulgę.

Jenny nadrabiała miną, ale czuła się bardzo niepewnie. Savanna była przecież w zaawansowanej ciąży, a wokół rancza rozciągały się jedynie bezkresne, puste połacie. Kiedy wreszcie wróci Max i chłopcy? Potrząsnęła mocno głową i

odpędziła od siebie ponure myśli. Wypiła łyk kakao i nakazała sobie spokój. Wszystko jest i będzie w porządku.

Przez chwilę rozmawiały o świątecznych prezentach, potem wspominały różne zabawne wydarzenia ze wspólnej młodości. Czasami nawet zapadały w drzemkę.

Nagle Jenny usłyszała pełen bólu jęk. Natychmiast otworzyła oczy i chwyciła przyjaciółkę za rękę.

- Co się stało?

Savanna wzięła głęboki oddech. Wyraźnie unikała spojrzenia przyjaciółki.

- Auuu! Tym razem było rzeczywiście okropnie.

- Tym razem? Co to znaczy? Dziecko mocniej cię kopnęło, tak?

Boże, błagam, niech to będzie tylko to!

- Nnnie wiem... Od pewnego czasu w ogóle nie czuję żadnych ruchów. To było... coś innego. - Savanna sięgnęła ręką za siebie i zaczęła masować sobie krzyż. - Teraz już przeszło.

- Może powinnaś się położyć? Już późno.

Savanna nawet nie próbowała protestować. Ramię w ramię z Jenny szła wolno korytarzem, kiedy nagle jęknęła i zgięła się w pół.

- O Boże, nie! Jenny... patrz - wskazała ręką na podłogę.

- Dziecko, co ci? - W holu pojawiła się zaniepokojona Hanna.

- Wwwo... dy mi odeszły.

Hanna rzuciła okiem na podłogę, potem szybko chwyciła Savannę pod ramię.

- Teraz musisz zachować spokój - tłumaczyła. - Będzie dobrze.

Jenny czuła, że gospodyni jest nie mniej przerażona niż one, z ulgą jednak powitała jej obecność.

- Zaprowadźmy ją do gabinetu Maksa. Tam będzie lepiej, nie uważasz?

Nie, to niemożliwe! Co robić? Kiedy wchodziły do gabinetu, Jenny spojrzała w okno. Grube, gęsto padające płatki zupełnie zasłaniały widok. Czy powinny jechać w taką pogodę? A jeśli wypadną z drogi i wylądują w rowie? Albo Savanna zacznie rodzić w samochodzie? Lecz jeśli nie zawiozą jej do szpitala, to kto odbierze poród?!

- Gdzie jest numer telefonu komórkowego Shane'a? - Starła się jakoś opanować sytuację. - Chyba powinniśmy im dać znać.

- W notatniku na biurku Maksa.

Jenny pobiegła do sąsiedniego pokoju i jej wzrok od razu padł na włączoną do kontaktu komórkę. O, Boże, tylko nie to! Z telefonem w ręku szybko wróciła do Savanny.

- Powiedz mi, że to nie jest ten aparat. Savanna tylko zamknęła oczy i jęknęła.

- Czy Max ma może biper?

- Nie znosi takich rzeczy. Słyszałam, jak przed wyjazdem przekazywał centrali numer Shane'a. Po prostu zapomniał zabrać telefon.

I co teraz? Wszystkie trzy wymieniły spojrzenia.

- Wybacz, to może niemądre pytanie, ale czy jest jakaś szansa, że tylko odeszły ci wody? Że to jeszcze nie poród?

- Chciałabyś - parsknęła nerwowym śmiechem Savanna i poprawiła się na leżance. - Zanim przyjdzie następny skurcz, musimy wszystko zaplanować. Liczę, że będziecie dzielne. Jak wpadniecie w popłoch, to i mnie się on udzieli. Pomożecie mi?

- Urodzić dziecko? - Jenny prawie krzyknęła.

- Jeśli to będzie konieczne. Może mężczyźni zdążą wrócić i Max zdecyduje, co robić. - Nagle zamilkła i skrzywiła się. - Ojej, znów! - Odprężyła się dopiero wtedy, kiedy skurcz

minał. - Może Mary mogłaby pomóc - powiedziała i znów zamknęła oczy.

Tak! Jenny potraktowała ten pomysł jak ostatnią deskę ratunku. Może Mary już kiedyś to robiła.

- Biegnę po nią! - zawołała. Zatrzymała się dopiero w progu i spojrzała niepewnie na Hannę.

- Idź, idź! Damy sobie radę. To zawsze trochę trwa - zapewniła ją gospodyni.

Chyba po minucie była już z powrotem. Z Mary, Krukiem i Billym.

- Billy i ja idziemy do jego pokoju - zarządził Indianin. - W razie czego wezwijcie nas na pomoc.

- Powiedz mi, że już kiedyś to robiłaś. - Jenny błagalnie spojrzała na Mary.

- Tak, kochana. Wielokrotnie - zapewniła ją spokojnie babka. - Nie znam tych nowych sposobów, ale stare powinny wystarczyć.

Jenny bez zastanowienia chwyciła ją w objęcia.

- O, dziękuję, dziękuję! Tak się cieszę, że tu jesteś.

- Ja też się cieszę, Jenny. - Mary uśmiechnęła się i pogładziła wnuczkę po policzku.

Chwilę patrzyły na siebie w milczeniu, a potem, trzymając się za ręce, przeszły do gabinetu.

- Savanno... Mary ma doświadczenie... ona nam pomoże.

- To dobrze - szepnęła już bardzo zmęczona Savanna. - A teraz posłuchajcie. Mam plan, ale muszę mówić szybko. Niech Mary zajmie się odebraniem dziecka... jeśli już do tego dojdzie... a Hanna będzie przynosić wszystko, co trzeba. A ty, Jenny... w gabinecie Maksa... jest taka czerwona książeczka... o postępowaniu w nagłych wypadkach. Musi być tam coś na temat porodu. Znajdź ją i czytaj na głos, a my będziemy postępować według tych wskazówek. Dobrze?

- Savanno?

- Dobrze? - powtórzyła dużo głośniej Savanna i zaraz zaczęła pojękiwać.

- Dobrze - zgodziła się Jenny i pobiegła szukać książki.

Z sercem w gardle i dysząc prawie tak samo jak przyjaciółka, gorączkowo przeszukiwała półki w gabinecie Maksa. Jeśli nawet znajdzie podręcznik i będzie w stanie pomóc Mary, to przecież dziecko Savanny przyjdzie na świat o cały miesiąc za wcześnie. Czy będzie wystarczająco duże? A jeśli...

Na samą myśl zrobiło jej się słabo. Opadła na kolana i ukryta twarz w dłoniach.

Boże, spraw, żeby wszystko się udało. Ocal moją przyjaciółkę i jej dziecko. Wiem, że nigdy do tej pory się do Ciebie nie zwracałam, że pewnie nie zasługuję na twoją łaskę, ale proszę...

Nagle z sąsiedniego pokoju dobiegł ją jęk, zerwała się więc na równe nogi, szybko otarła twarz i zaczęła metodycznie przeszukiwać półkę po półce. W końcu znalazła. Chwyliła mocno książkę i przycisnęła ją do piersi.

Boże, pomóż! Wiem, iż zawsze myślałam, że ze wszystkim dam sobie sama radę, ale tym razem jest inaczej. Proszę, daj mi opanowanie i mądrość, których tak bardzo teraz potrzebuję.

Z nadzieją, że została wysłuchana, wróciła do Savanny. Szybko znalazła w spisie rozdział pod tytułem „Poród” i otworzyła książeczkę na właściwej stronie.

- Przejdź od razu do narodzin dziecka - poprosiła ją przyjaciółka. - Zobaczymy, co będzie nam potrzebne. Szybciej, Jen! Czuję, że to już niedługo.

- Skurcze powtarzają się co dwie minuty - wtrąciła Hanna, spoglądając na zegarek.

Jenny jakoś udało się znaleźć właściwy fragment.

- „Sterylna rękawiczki, czysty koczek dla dziecka - zaczęła czytać. - Coś do odessania płynu z nosa i buzi". Tu wygląda to jak gumowa gruszka... Dwie pary szczypiec do przecięcia pępowiny...

- Rękawiczki są tu gdzieś w szufladzie, szczypce chyba też - przerwała jej Savanna. - Kocyki mam w moim pokoju.

- Gruszkę mam ja - dodała Hanna. - Wyparzę ją i będzie w porządku.

- „Tlen" - czytała dalej Jenny.

- Na ścianie za mną - jęknęła Savanna tuż przed kolejnym skurczem.

- Miska... ciepła woda - przypomniała Mary. - Żeby umyć dziecko.

- Tak, tak - zgodziła się Jenny. Brzmiało to rozsądnie, choć książka o tym nie wspominała.

Kiedy Savanna mocno chwyciła ją za rękę, Jenny omal nie jęknęła.

Hanna wróciła z gruszką i kocykami, potem szybko znalazła w szufladach resztę potrzebnych akcesoriów. Savanna pojękiwała cicho, więc Jenny otarta jej pot z czoła i szeptała uspokajająco do ucha:

- Ciii... maleńka, ciii... Nie jesteś sama... Spróbuj trochę odpocząć przed następnym skurczem... Czy jest coś przeciwbólowego, co można by jej dać? - zwróciła się do Mary.

- Pejotl nie... Ale może...

- Nalewkę na korze! - przypomniała sobie Jenny. - Chyba widziałam ją w spiżarni.

- Kruk kiedyś dał mi ją na moje lumbago. - Hanna była już w drzwiach. - Już przynoszę.

Mary spojrzała na Jenny i uśmiechnęła się.

- Dziś jest czwarty. To bardzo dobra liczba. Urodziłaś się czwartego dnia czwartego miesiąca i dlatego czuwa nad tobą Dobry Duch. Zobaczysz, że dasz sobie dziś radę.

Oby!

Shane siedział w milczeniu i rozglądał się po sali. Zgodnie z opisem Maksa, panna Taylor Phillips była rzeczywiście piękną blondynką. I Josh oczywiście usiadł obok niej. Zresztą nie na wiele mu się to zdało, bo panna Taylor zwracała uwagę tylko na jego ojca. Traktowała go jak swego mistrza i idola.

W pewnej chwili Maksa poproszono na podium, a Shane zauważył, że Ryder niecierpliwie spogląda na zegarek.

- Może chciałbyś zadzwonić do domu? - spytał brata.

- Nie chcę wychodzić w trakcie jego przemówienia. Zresztą to już chyba niedługo się skończy. Zadzwonię z samochodu.

Shane kiwnął głową i próbował skupić się na słowach padających ze sceny. Marzył, by mieli już za sobą trudną drogę powrotną, by siedzieli przy kominku i cieszyli się sukcesem ojca. Wszyscy razem. Jenny też.

Jenny. Myślał o niej prawie cały wieczór. Z początku wydawało mu się, że to dlatego, iż Jenny nie mogła im towarzyszyć. Wkrótce jednak przyznał, że chodzi o coś zupełnie innego. Wiedział, że jest bezpieczna, że spędza miły wieczór z Savanną, ale... dręczyły go złe przeczucia. Był pewien, że uspokoi się dopiero po powrocie do domu.

Kiedy Kruk przysnął w fotelu, Billy ułożył pod kołdrą poduszkę, mającą udawać śpiącą postać, wziął pod pachę swoje ubranie i buty, a potem na palcach wymknął się z pokoju. Mimo włączonego telewizora dobiegały go krzyki i jęki Savanny, nie mógł więc usiedzieć spokojnie ani chwili dłużej. Musiał sprawdzić, czy z jego mamą wszystko w porządku. Zapewniała go, że przed porodem trochę pocierpi, ale potem bóle ustana i wszyscy będą bardzo szczęśliwi. Jej

krzyki nie były jednak ani trochę radosne. A Hanna, która wpadła po kocyki, wyglądała na przerażoną. I w ogóle dlaczego to wszystko dzieje się w domu, a nie w szpitalu, jak mu mówiono? I dlaczego teraz, a nie po świętach?

Na szczęście kobiety zgromadzone wokół łóżka odwrócone były plecami do drzwi, więc nie zauważony przemknął cichcem do gabinetu Maksa. Włożył dzinsy i usiadł na podłodze w najciemniejszym kącie pokoju. Żałował, że nie wziął ze sobą koca, bo w pomieszczeniu było bardzo zimno. Krzyki Savanny były tak głośne i przenikliwe, że chłopiec zatkał sobie uszy. Modlił się, by tata i dziadek wrócili jak najszybciej.

Skurcze były coraz częstsze i dłuższe. Jenny uznała, że to już druga faza porodu, więc dwukrotnie przeczytała na głos odpowiedni fragment. Choć słuchając jęków przyjaciółki, trudno było jej się skoncentrować, uznała, że przyszła pora, by przejąć kontrolę nad sytuacją. Nalewka na korze przestała już rodzącej pomagać.

- Hanno... jak tylko minie skurcz, podaj Savannie trochę tlenu. - Hanna bez słowa spełniła jej prośbę. - Savanno... oddychaj głęboko między skurczami, a jeśli poczujesz, że powinnaś przeć, zrób to. Dobrze?

Savanna tylko kiwnęła głową.

- Babciu... chyba już pora, żebyś włożyła rękawiczki. Słyszając upragnione słowo, Indianka uśmiechnęła się.

- Piszą tutaj, że kiedy pokaże się główka, trzeba ją leciutko ścisnąć, żeby nie wyszła za szybko i nie przerwała tkanki - mówiła dalej Jenny. Fragment dotyczący ewentualnego nacięcia krocza na wszelki wypadek ominęła.

Savanna wsparta się na łokciach. Przez chwilę próbowała przeć, a potem znów opadła na poduszkę.

- Widzę główkę - oznajmiła spokojnie Mary.

- Jesteś pewna, że to nie pupa albo ramię? - Tę część tekstu Jenny też zachowała dla siebie. Miała nadzieję, że obracanie dziecka zostanie im oszczędzone.

- Zdecydowanie - odparła z uśmiechem Indianka. - Są włosy.

Wszystkie z wyraźną ulgą wybuchnęły śmiechem.

W sąsiednim pokoju Billy też się uspokoił. Gdyby działo się coś złego, na pewno by się nie śmiały.

Savanna znów nachyliła się do przodu i parła z całych sił. Jenny patrzyła, jak jej babka delikatnie naciska główkę dziecka. Na razie nie widać było żadnego przerwania tkanki. Może to dlatego, że noworodek jest mały? Ale czy nie za mały? Szybko jeszcze raz przebiegła wzrokiem odpowiedni fragment.

Savanna znów opadła na poduszkę i głęboko oddychała. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Gdy pojawiła się cała główka niemowlęcia, Jenny szybko i bardzo sprawnie odessała gumową gruszką wydzielinę z noska i buzi maleństwa. Mary delikatnie uwolniła pierwsze ramię i Savanna, na wpół płacząc, na wpół się śmiejąc, wydała na świat swoje dziecko.

- To chłopiec! - krzyknęła Jenny i leciutko uściśnięła przyjaciółkę.

Czekało je jeszcze mnóstwo roboty.

Zanim Jenny zdążyła jej powiedzieć, że to właśnie nakazuje podręcznik, Mary położyła maleństwo na brzuchu Savanny.

- Jaki piękny - szepnęła z zachwytem młoda mama. Mary najwyraźniej nie potrzebowała żadnych instrukcji, bo, nie czekając na wskazówki Jenny, pomogła Savannie urodzić także łożysko.

Hanna też nie straciła głowy - w obu rękach trzymała gotowe szczypce.

Na Jenny wypadło więc przecięcie pępownicy. Zrobiła to po zaledwie sekundowym wahaniu.

Mary fachowo chwyciła maleństwo i delikatnie obmyła je w misce z ciepłą wodą, potem owinęła w kocyk i położyła obok Savanny.

- Jestem z ciebie dumna - szepnęła do Jenny.

Gardło Jenny było tak ściśnięte, że dziewczyna nie była w stanie wykrztusić ani jednego słowa. Zamknęła oczy i mocno przytuliła się do Mary. Wiedziała, że nigdy nie zapomni tej nocy. A przede wszystkim tego, że dzieliła ciężkie chwile ze swoją babką - kobietą delikatną, spokojną i mądrą.

- Czy nie jest za mały? - spytała nagle zaniepokojona Savanna.

Mary szybko otarła łzy i stanęła obok niej.

- Mały jest owszem, ale nie za bardzo. Możesz podać mu pierś. To wam obojgu dobrze zrobi.

Jenny też otarła oczy i zaczęła czytać na głos:

- „Karmienie przyspiesza kurczenie się macicy i hamuje krwawienie”.

- Jak ja wam się wszystkim odwdzięczę - szepnęła Savanna i wyciągnęła rękę do Jenny. - Kocham cię. Cieszę się, że byłaś ze mną.

- Ja też... Ale wołałabym, żeby był tu i Max - dodała ze śmiechem, chociaż tak naprawdę z trudem powstrzymywała się od płaczu.

- I Ryder... - Savanna nagle posmutniała. Ledwo wyrzekła te słowa, w holu rozległy się męskie głosy. - Są! Wrócili!

- Jasne - prychnęła Hanna. - Mężczyźni zawsze przychodzą na gotowe.

Wszystkie cztery wybuchnęły śmiechem, ale nawet nie próbowały ukryć ulgi.

W sąsiednim pokoju Billy wtulił głowę w kolana i zaczął szlochać. Cieszył się, że Savanna i dziecko mają się dobrze.

Ale przecież miała urodzić się dziewczynka. Właściwie nie powinno mu to robić różnicy, ale...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy w końcu dotarli do domu, byli już u kresu wytrzymałości nerwowej. Max tyle razy przeproszał, że zapomniał wziąć telefon, że Ryder w końcu kazał mu się zamknąć. Postanowili nie tracić czasu na szukanie automatu, a całą resztę drogi przejechali w milczeniu.

Shane chciał uspokoić brata, ale sam był zbyt zdenerwowany. Jechał najszybciej, jak było to możliwe w tych warunkach.

Kiedy wjechali na podjazd, Ryder nawet nie zaczekał, aż auto się zatrzyma. Wskoczył w biegu i od razu wpadł do kuchni. Brat i ojciec deptali mu po piętach. Ponieważ w kuchni nikogo nie było, więc popędzili do salonu. W kominku wygasł już ogień, obok kanapy leżał przewrócony kubek.

Ryder ruszył biegiem wzdłuż korytarza i omal nie wyważając drzwi, wpadł z impetem do swego mieszkania.

- Gdzie jest moja żona? - wrzasnął, szarpiąc za ramię śpiącego Kruka.

Indianin, wyrwany z głębokiego snu, popatrzył na niego nie widzącym wzrokiem.

Pozostał im więc już tylko gabinet Maksa.

Bez słowa wszyscy trzej popędzili w tamtą stronę. Zatrzymali się dopiero w progu, wpadając jeden na drugiego.

Na widok uśmiechniętej Savanny, tulącej do siebie maleństwo, Ryder krzyknął. Szybko zrzucił mokrą kurtkę i czapkę, podbiegł do żony i delikatnie ją pocałował.

- Savanno... Jak to... Jak się czujesz? A dziecko? Jest takie... maleńkie...

Max stanął tuż za nim i położył mu rękę na ramieniu. Przez chwilę uważnie przyglądał się wnuczce.

- Ale nie za maleńkie, synu - rzekł. - Na oko dwa i pół kilo.

- Oboje czujemy się znakomicie - zapewniła ich rozpromieniona Savanna. - Chciałbyś potrzymać swego synka, tatusiu?

- Mojego... synka? - szepnął przez łyzy Ryder i wziął w rękę żółte zawiniątko.

- Nie ma niczego cudowniejszego dla człowieka niż narodziny jego dziecka - rzekł Max.

Widząc spojrzenie, jakie ojciec wymienił z Ryderem, Shane poczuł niespodziewane ukłucie zazdrości. Czy dlatego, że to Ryder pierwszy został ojcem, dając w ten sposób początek nowemu pokoleniu? A może po prostu Shane odniósł wrażenie, że ojciec traktuje Rydera jak pierworodnego? Kiedy jednak Jenny ujęła go za rękę i oparła głowę na jego ramieniu, szybko o tym zapomniał. Spojrzał na nią i ujrzał twarz, jakiej nie widział nigdy dotąd. Zniknęła gdzieś maska i kryjąca się za nią złość. Patrzyła na niego kobieta szczęśliwa i spokojna.

Billy, nadal ukryty w gabinecie Maksa, zbierał się na odwagę, by wrócić do swego pokoju. Kiedy usłyszał słowa dziadka, zeszywniał. „Nie ma nic cudowniejszego dla człowieka niż narodziny jego dziecka”. Billy wiedział, że Ryder nie jest jego prawdziwym ojcem, ale ostatnio coraz częściej udawał, że jest inaczej. Teraz tata ma swoje prawdziwe, własne dziecko. Syna. Prawdziwego syna.

Drżał z zimna, a po policzkach spływały mu strumienie łez. Marzył, by ktoś po niego przyszedł i zabrał go z tego ciemnego kąta. Może tata powie: „Billy, poznaj swojego nowego braciszka” i przytuli go do siebie.

Chociaż miał wrażenie, że minęła już cała wieczność, odkąd tu siedzi, nikt nawet nie wymienił jego imienia. Jakby wszyscy zapomnieli o jego istnieniu. Kiedy w końcu podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz, zobaczył opartego o ścianę Kruka. Wiedział, że Indianie nie towarzyszą kobietom przy

porodzie, domyślił się więc, że stary czeka tam na Mary. Nie chciał z nim rozmawiać. Nie miał ochoty rozmawiać z nikim z domowników. Kiedy Kruk przymknął oczy, chłopiec na paluszkach wymknął się z gabinetu. W kuchni włożył kurtkę, czapkę, rękawiczki i wyszedł na dwór.

Max wszedł do swego gabinetu, wyjął z kontaktu telefon komórkowy i wrócił do Savanny. Hanna i Mary już się żegnały, ale kazał im zaczekać.

- Dzwonię do mojego przyjaciela, pediatry. Na pewno będzie chciał zadać wam kilka pytań. - Szybko wystukał numer i czekał, aż przyjaciel odbierze. - Cześć, Larry, tu Max. Przepraszam, że cię budzę, ale potrzebuję pomocy.

Szybko wyjaśnił sytuację, potem przekazał jego pytania Hannie i Mary. Powiedziały, że dziecko było różowe, że od razu zaczęło płakać i machać nóżkami. Jenny dodała, że krocze nie zostało rozerwane.

- Chwileczkę - rzekł w pewnej chwili Max i wziął do ręki stetoskop. Najwyraźniej spełniał polecenie pediatry.

- Równo... Regularnie... Nie za szybko - mówił do słuchawki, a wszyscy obecni w pokoju odetchnęli z ulgą. Max obmacywał teraz brzusek wnuka. - Miękki... wszystko wydaje się w porządku... Waga? Nie wiem... Zaczekaj chwilę.

Max wziął małego z objęć Rydera i ostrożnie położył na stojącej na szafce wadze.

- Tak mniej więcej dwa czterysta pięćdziesiąt, jeśli odjąć kocyk i kleszcze - poinformował kolegę.

- Nie... ale zaraz zapytam. Czy ktoś zanotował godzinę narodzin?

Kobiety spojrzały na siebie zaskoczone. Uśmiechnęła się tylko Mary.

- Cztery minuty przed końcem czwartego dnia - powiedziała, patrząc na Jenny.

- Jedenasta pięćdziesiąt sześć - rzucił do słuchawki Max.

- Tak, jasne. Dzięki, Larry. Do zobaczenia rano.

Max wyłączył telefon i rozejrzał się po pokoju.

- Nie wiem, jak tego dokonaliście, ale udało się - rzekł, nie kryjąc dumy i szczęścia. - Larry zajrzy rano i zbada małego, ale mówi, że wszystko wydaje się być w porządku... i nie ma się czym martwić. - Max podszedł do łóżka i pogładził Savannę po policzku. - Zadzwoń do twojego ginekologa. Twoim zdrowiem też musimy się zająć, maleńka.

Po kolei wszyscy zaczęli opuszczać pokój. Rzucali jeszcze tylko ostatnie spojrzenie na malucha i gratulowali świeżo upieczonym rodzicom.

Mary wzięła pod ramię Kruka i szepcząc mu coś po indiańsku, wróciła razem z nim do chatki.

Josh odprowadził Hannę do jej pokoju, a Max rozmawiał jeszcze z kimś przez telefon w swoim gabinecie.

Trzymając się za ręce, Shane i Jenny wyszli ostatni. Jakby za obopólnym porozumieniem minęli jego pokój i zajrzeli jeszcze do kuchni. Wyraźnie trudno im się było rozstać.

- Chyba powinnam tu trochę posprzątać - powiedziała Jenny. Spojrzała w oczy Shane'a i uśmiechnęła się. - Ale porządki nie zając - dodała i poprowadziła go na górę do swojego pokoju.

Jenny była zbyt podniecona, by myśleć o śnie. Po głowie krążyło jej tyle myśli, że musiała się nimi z kimś podzielić. Wybrała Shane'a.

Posadziła go w stojącym przy oknie fotelu i chciała uklęknąć obok, ale Shane zmusił ją, by usiadła mu na kolanach. Przez chwilę, wtuleni w siebie, siedzieli w milczeniu.

W końcu Jenny nie wytrzymała.

- Bardzo się bałam... a potem pobiegłam po babcię, a ona była taka spokojna i opanowana. Szkoda, że jej nie widziałeś w akcji, Shane.

Dopiero w tej chwili dotarły do niej jej własne słowa. Stara Indianka nie była już dla niej Mary, lecz babcią. I w dodatku Jenny była z niej bardzo dumna. W duchu podziękowała Bogu, który wysłuchał jej prośb.

- Czy ty się czasem modlisz? - spytała nieśmiało.

- Tylko codziennie - zaśmiał się Shane, a Jenny przytuliła głowę do jego ramienia. - Nigdy nie słyszałem, aby ktokolwiek z mojej rodziny rozmawiał o takich sprawach... może tylko Hanna. Kiedy byliśmy mali, mama czasami chodziła z nami do kościoła. Ale modlić można się wszędzie.

Kruk mnie tego nauczył. Indianie już tacy są. Zawsze znajdą chwilę, by spokojnie pomedytować, nieraz nawet kilka razy dziennie. Jeszcze w dzieciństwie, kiedy zauważyłem, że Kruk to robi, zacząłem go naśladować. Pewnie dlatego byłem spokojniejszy niż moi bracia.

- Co wtedy mówisz?

- Zazwyczaj nic. Kruk nauczył mnie w takich chwilach słuchać. Czemu pytasz?

Jenny odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

- Bo... ja... No, zawsze myślałam, że jestem bardzo niezależna i nad wszystkim panuję. Ale to, co stało się dzisiaj, dosłownie rzuciło mnie na kolana. Najpierw wpadłam w popłoch, bo nie mam pojęcia o przyjmowaniu porodu. Savanna jest moją najlepszą przyjaciółką i nagle poczułam, że życie jej i dziecka spoczywa w moich rękach.

- Z tego, co wiem, świetnie sobie poradziłaś - Shane pocałował ją w czubek głowy i mocno przytulił. - Jestem z ciebie dumny, kochanie.

Jenny odwzajemniła uścisk.

- Dziecko, babcia, modlitwa... Tyle zmian w ciągu jednego wieczora. Czuję się jak na karuzeli.

- I jeszcze z niej nie zsiadłaś, co?

Byli tak blisko siebie, że zauważyła lekki uśmiech na jego twarzy. Czyżby myślał o tym samym?

Na odpowiedź nie musiała długo czekać. Jego pocałunek był delikatny, ale jednocześnie namiętny. Shane wziął ją na rękę i ostrożnie przeniósł na łóżko. Kiedy położył się obok i palcem zaczął obrysowywać kontur jej ust, zamknęła oczy i przypomniała sobie, jak to było, kiedy kochali się po raz pierwszy. Przeczuwała, że teraz będzie inaczej. Wtedy mogła jeszcze sobie wmawiać, że to tylko pożądanie, ale teraz już była pewna swoich uczuć. Kochała Shane'a jak nikogo dotąd. Zapragnęła natychmiast mu o tym powiedzieć. Mocno chwyciła go za rękę.

- Kocham cię, Shane - powiedziała stanowczo, patrząc mu prosto w oczy.

Już samo wypowiedzenie tych słów sprawiło jej przyjemność. Na próżno szukała we wzroku Shane'a oznak niechęci lub zniecierpliwienia. Dostrzegła w nim tylko czułość. Przez dłuższą chwilę jej ukochany milczał.

Kiedy w końcu otworzył usta, Jenny nie pozwoliła mu mówić.

- Nic nie mów... Nie chcę cię do niczego zmuszać, Shane. To był mój czas i moje miejsce. Kiedy poczujesz, że przyszła twoja chwila, to wtedy mi wszystko powiedz... Ale tylko wtedy.

Shane posłusznie milczał.

- No? - zagadnęła w końcu Jenny.

- Myślałem, że nie chcesz, żebym...

- Żebyś się ze mną kochał? Parsknął śmiechem i pokręcił głową.

- No to jak? Mam zerwać z ciebie to ubranie? - przekomarzała się Jenny

Gdy Shane się rozbierał, Jenny nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Zimno tu bez ciebie - rzekł z figlarnym uśmiechem. - Teraz chyba twoja kolej? Co ty na to?

Zamiast rozebrać się tak samo szybko jak on, Jenny powolutku, nie odrywając spojrzenia od Shane'a, ściągała kolejne części garderoby. Nie uszło jej uwagi, że jej ukochany napawa się tym widokiem. Oboje wiedzieli, że mają przed sobą bardzo długą noc.

Potem długo leżeli wtuleni w siebie. Shane gładził ją po plecach i od czasu do czasu całował w kark. Jenny cieszyła się każdą chwilą, każdą pieszczotą, każdym pocałunkiem. To był rzeczywiście wyjątkowy wieczór. Najpierw zaufała Bogu i babci, i żadne jej nie zawiodło. Teraz zaufała temu mężczyźnie, oddając mu nie tylko swoje ciało, ale i umysł, duszę i serce. Było to dla niej zupełnie nowe doświadczenie.

Kiedy Shane przyciągnął ją mocno do siebie, uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie czuła się tak kochana. Wcześniej niepokoiła się swoim opóźniającym się okresem, teraz przepełniały ją dumą i szczęściem. Bardzo pragnęła urodzić to dziecko. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie podzielić się dobrą nowiną z Shane'em, uznała jednak, że jeszcze na to za wcześnie. Najpierw sama musiała oswoić się z tą myślą.

Głośne stukanie do drzwi wyrwało ją z tych rozmyślań.

- Jenny? - usłyszała głos Rydera. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy mogę chwilę z tobą porozmawiać?

- Chyba nic złego nie stało się z dzieckiem? - szepnęła Jenny do Shane'a.

- Nie, wtedy stukałby do drzwi ojca, nie twoich. No to co? Mam się schować pod kołdrę, czy narazimy braciszka na kolejny szok?

Śmiejąc się, oboje podciągnęli przykrycie wysoko pod brody.

- Wejdz! - zawołała Jenny.

Ryder wszedł do ciemnego pokoju i stanął w progu. Jeśli nawet zauważył Shane'a, nie dał tego po sobie poznać.

- Jen... kiedy ostatni raz widziałaś Billy'ego?

Zapaliła lampkę, a Shane zaczął się ubierać.

- Przyszedł z Krukiem i Mary - odparła po chwili zastanowienia. - Myślałam, że śpi u siebie.

- Ja też - odparł bardzo już zaniepokojony Ryder. - Kiedy obudziłem Kruka, żeby zapytać, gdzie jest Savanna, byłem pewien, że mały śpi pod kołdrą. Postanowiliśmy go obudzić i pokazać mu dziecko, ale kiedy podniosłem kołdrę, leżała tam tylko poduszka.

- Może wrócił do chaty z Krukiem - przerwała mu Jenny. - Przecież miał zamiar spędzić tam noc, prawda?

Ryder skinął głową, ale nie wyglądał na uspokojonego.

- Gdzie ojciec? - Shane położył bratu rękę na ramieniu.

- Postanowił się trochę przespać.

- To nie przeszkadzajmy mu. Zostań z Savanną i małym, a ja i Jenny poszukamy Billy'ego. Nie mógł odejść daleko.

- Byłem pewien, że przygotowaliśmy go na narodziny dziecka. Dlaczego zniknął w taki sposób? - Ryder wpatrywał się w brata, jakby od niego oczekiwał odpowiedzi na trudne pytania.

- Rozumiem, że się niepokoisz, ale zostaw to nam, dobrze?

- Weźcie telefon komórkowy... i dzwońcie, jak tylko go znajdziecie - zgodził się Ryder po chwili wahania.

- Jasne, - Shane poklepał go po ramieniu.

- Ja biegnę do dżipa, a ty zajrzyj do Kruka, dobrze? - Jenny była już gotowa do akcji.

- Ruszajmy. - Shane uśmiechnął się i pocałował ją w czoło.

Jenny miała nadzieję, że Billy śpi bezpiecznie w chacie Kruka, ale intuicja podpowiadała jej co innego. Przypomniła

sobie opowieść Savanny, jak to kiedyś z Ryderem znaleźli chłopca na grobie matki, więc tam właśnie najpierw skierowała swe kroki.

Wkrótce zauważyła na śniegu świeże ślady końskich podków. Trop zbaczał z drogi i wiódł na szczyt pagórka. Śnieg był tam zbyt głęboki, by mogła jechać autem, wysiadła więc i, otuliwszy się szczelnie szalikiem, rozpoczęła długą i mozolną wędrówkę. Kiedy w końcu dotarła na górę i dojrzała znajomą kurtkę, odetchnęła z ulgą.

Billy leżał zwinięty w kłębek obok grobu Maddy. Jedną ręką obejmował nagrobek. Tak samo pewnie w dawnych, dobrych czasach Billy przytulał się do matki. Obok stał przywiązany ukochany kucyk chłopca.

Jenny wolno podeszła i uklękła obok malca. Przez chwilę w milczeniu gładziła go po ramieniu.

- Niepokoiłiśmy się o ciebie, młody człowieku - powiedziała w końcu, lecz chłopiec w ogóle nie zareagował na jej słowa.

- Twoi rodzice...

Billy nagle usiadł i spojrzał jej prosto w oczy.

- Mają teraz własne dziecko - mruknął.

Wcale jej nie zdziwiły te słowa. Przy tym całym zamieszaniu mały na pewno poczuł się zapomniany i niepotrzebny.

- Ciebie też kochają, Billy. Przecież wiesz. Prawda?

- Ale nie tak bardzo, jak to własne.

- Wiesz, nie wydaje mi się. To małe dopiero przyszło na świat i muszą je najpierw poznać, a ciebie znają i kochają od dawna. Gdy ich synek dorośnie, na pewno będzie chciał ci we wszystkim dorównać. Wyczuje, że rodzice są z ciebie dumni.

To dało mu trochę do myślenia.

- Naprawdę tak uważasz?

- Przecież to oczywiste.

- Chyba tak, ale...

- Rodzice kochają wszystkie swoje dzieci. Przecież ludzie mają w sobie nieograniczone pokłady miłości. Popatrz na Shane'a i Josha. Czy kochasz któregoś ze swych wujków mniej tylko dlatego, że jest ich dwóch?

Na twarzy chłopca pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- Dziadek Max kocha wszystkich swoich synów - szepnął.

Jenny wyciągnęła rękę i chłopiec natychmiast poddał się tej pieśczości. Rzucił się w ramiona dziewczyny i zaczął głośno szlochać. Popłakiwał jeszcze przez chwilę, ale potem, trzymając Jenny za rękę, pozwolił się sprowadzić ze wzgórza. Kucyk spokojnie podążył za nimi. Przywiązali go do zderzaka i Jenny od razu zadzwoniła do domu. Ryder podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Billy jest ze mną w samochodzie. Wracamy do domu. - Usłyszała głośne westchnienie ulgi. - Czy Shane już wrócił? - spytała.

- Nie. Chyba wciąż jest u Kruka, ale zaraz mu powiem, że wszystko w porządku. Dzięki, Jenny. Za wszystko.

- Ucałuj Savannę i dziecko. Już nie musicie się denerwować.

Billy przytulił się do jej ramienia i wolno, ze względu na kuca, ruszyli w stronę domu.

Jenny też próbowała się odprężyć.

Savanna i dziecko czują się dobrze. Billy też wkrótce dojdzie do siebie. A ona jest po uszy zakochana.

Czemu więc dręczyło ją przeczucie, że wkrótce coś się wydarzy? Coś złego...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przebiegając przez stajnię w drodze do chatki Kruka, Shane zauważył pusty boks. Trzeba było pojechać z Jenny; Billy musi być gdzieś poza domem.

Oparł się o belkę i zastanawiał, co robić. Mógł pożyczyć auto i pojechać za nią albo wziąć konia i próbować ich odszukać. Mógł też zaczekać, aż Jenny znajdzie chłopca.

Ucieczka Billy'ego bardzo go zasmuciła. Powlókł się do chaty Kruka, by znaleźć pociechę i otuchę w rozmowie z przyjacielem.

Przez frontowe okienko dojrzał palącą się lampkę. Świeciła tak dzień i noc od tygodnia, od kiedy stary Indianin usłyszał na dachu pohukiwanie sowy i uznał to za zły znak. Zastrzelił więc ptaka i powiesił na drzewie, osłoniwszy najpierw czarnym kapturem. Dzięki temu sowa miała wrócić do świata duchów.

W salonie i kuchni nie zastał nikogo, a drzwi do pokoju Shane'a, w którym teraz sypiała Mary, były otwarte. Łóżko było puste. Czyżby Mary i Kruk spali razem? Shane znieruchomiał. Nie chciał, by go usłyszeli. Nagle zza nie domkniętych drzwi do pokoju Kruka dobiegły go ich głosy.

A więc w niczym im nie przeszkodził. Tylko czy powinien zapukać i wejść, czy też raczej zniknąć? Indianie rozmawiali w swoim języku i to na pewno o czymś ważnym, bo zazwyczaj tak bardzo czujny Kruk nawet nie zauważył, że ktoś wszedł do chatki.

Shane nadal się wahał. A może rozmawiają o Billym? Już chciał zawołać Kruka, kiedy w potoku indiańskich słów usłyszał swoje imię. Słuchał przez chwilę bardzo uważnie, pewien, że się pomylił.

Jednak następne słowa rozwiały resztkę jego wątpliwości.

Chciał uciec i udawać, że niczego nie słyszał, nie był jednak w stanie zrobić kroku. Miał wrażenie, że ciało

przystało go słuchać, a jego dusza szybuje wysoko w powietrzu...

Dopiero po dłuższej chwili bezszelestnie wymknął się z chaty. Pobiegł do stajni i oparł się o bramkę pustego boksu.

Wszystko się zmieniło. Nic już nigdy nie będzie takie jak przedtem.

Z rozmyślań wyrwał go dopiero warkot silnika. Przez szparę w drzwiach zobaczył wysiadających z auta Jenny i Billy'ego.

Odczekał, aż wejdą do domu, wyszedł ze stajni, odwiązał kuca i usiadł za kierownicą.

Nie wiedział, dokąd pojedzie, ani na jak długo.

Czuł tylko, że musi zostać sam i zastanowić się nad słowami, które nigdy nie powinny dotrzeć do jego uszu.

W holu czekał na Jenny i Billy'ego Ryder. Od razu przykleknął i przytulił chłopca.

- Och, Billy! Tak się cieszę, że nic ci się nie stało.

Billy pociągnął nosem, odsunął się trochę i spojrzał na ojca.

- Nie gniewasz się na mnie?

- Pewnie powinienem, ale chyba cię rozumiem.

Mały znów wtulił się w jego ramiona.

- Kocham cię, tato.

- Ja też cię kocham, synku. Wszyscy cię kochamy... i wcale nie mniej niż wczoraj. Chodź, Savanna na ciebie czeka. I chcę ci jeszcze kogoś przedstawić. - Ryder wstał i uśmiechnął się do syna, potem spojrzał na Jenny.

- Dzięki, Jen. Jak ja ci się odwdzięczę?

Tylko machnęła ręką.

- Widziałeś Shane'a?

- Nie. Ciekawe, co robi tyle czasu u Kruka?

No właśnie. Jenny też była zdziwiona, że Shane nie czeka przy telefonie. Na pewno zauważył brak kucyka i domyślił się,

że Billy'ego nie ma co szukać w chatce Kruka. Wróciło wcześniejsze uczucie dziwnego niepokoju, ukryła jednak swe obawy i uśmiechnęła się do Rydera.

- No to idźcie. Ja pójdę do chatki i uspokoję Shane'a.

- Zobaczymy się rano, co?

- Masz to jak w banku.

Zanim dotarła do kuchni, usłyszała na podjeździe warkot silnika. Kiedy wybiegła na dwór, dojrzała tylko tylne światła dżipa Shane'a. Zaniepokojona, zajrzała do stajni i znalazła tam kucyka Billy'ego. A więc Shane wie, że wrócili... Dlaczego nie wszedł do domu? Czemu odjechał bez słowa?

Jenny spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza. Za późno, by niepokoić Kruka i babcię. Zresztą gdyby Shane powiedział, dokąd się wybiera, stary Indianin na pewno przekazałby Jenny tę wiadomość.

Coś było nie tak.

Wchodząc powoli do domu, zastanawiała się, czy nie powiedzieć Ryderowi o nagłym wyjeździe brata. Ciężko oparła się o blat i zaczęła rozcierać przemarznięte dłonie. Postanowiła nie niepokoić świeżo upieczonych rodziców. Po tych wszystkich przeżyciach należała im się chwila wytchnienia.

Już miała się położyć, kiedy przypomniała sobie, że zostawiła w dżipie telefon komórkowy. Czy wyłączyła go po telefonie do Rydera? Był tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć. Na ścianie w kuchni wisiała tablica z najważniejszymi numerami. Jeden z nich z pewnością należał do Shane'a.

Z bijącym sercem, drżącymi palcami wystukiwała kolejne cyfry. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że zawładnął ją przemożny strach. Była niemal pewna, że wydarzyło się coś złego.

Odczekała cztery sygnały i już chciała się rozłączyć, kiedy Shane odebrał telefon. Gdy usłyszała jego głos, instynktownie wyczuła, że popełniła błąd.

- Ja... ja tylko chciałam, żebyś wiedział, że z Billym wszystko w porządku. - Miała ochotę zapytać, gdzie, do cholery, go licho nosi, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Jej strach był dużo silniejszy niż złość.

- To dobrze - odparł głosem wypranym z wszelkich emocji.

Jenny przez chwilę wsłuchiwała się w jego oddech. Miała ochotę przerwać połączenie, bo czuła, że to, co za chwilę usłyszy, nie przypadnie jej do gustu. I nie pomyliła się.

- Nie będzie mnie przez jakiś czas. Nie wiem, jak długo. Proszę, powiedz wszystkim, żeby się nie martwili - dodał chrapliwie.

Nie zdążyła go o nic więcej zapytać, bo przerwał połączenie. A jej zrobiło się tak zimno, jak jeszcze nigdy w życiu.

Wolno powlokła się na górę, rozebrała się i wsunęła pod kołdrę. Uświadomiła sobie, że jeszcze godzinę temu Shane leżał tuż obok.

Dlaczego tak bezceremonialnie ją odtrącił? Czym zawiniła?

Przypomniała sobie swoją miłosną deklarację i czułość we wzroku kochanka. Była pewna, że gdyby go nie powstrzymała, Shane także wyznałby jej miłość. Przecież nie była aż tak ślepa, by nie dostrzec w jego oczach głębi uczucia. Czyżby powiedziała za dużo i za wcześnie?

Czuła się upokorzona i odrzucona. Jedynej mężczyźna, któremu wyznała miłość, okrutnie z niej zadrwił. Porzucił ją bez jakiegokolwiek wyjaśnienia. Bez jednego czułego słowa. Jeśli przydarzyło mu się coś złego, dlaczego nie zwrócił się do

niej, czemu jej nie zaufał? Znalazła tylko jedno wytłumaczenie.

To ona stanowiła dla niego problem.

Kiedy w końcu zasnęła, dręczyły ją koszmary. Rano obudziła się smutna i obolała - fizycznie i psychicznie. Nawet odwiedziny u Savanny i dzidziusia nie poprawiły jej nastroju. Nie miała zamiaru powiedzieć przyjaciółce o nagłym wyjeździe Shane'a, a tym bardziej o drugiej przyczynie targającego nią niepokoju.

W sobotę po śniadaniu pojechała do Joeville. Kupiła tylko jedną rzecz i natychmiast wróciła do domu.

W zaciszu swej łazienki od razu zrobiła test. Potem jeszcze dwa razy przeczytała załączoną instrukcję. Wynik wcale jej nie zaskoczył - był pozytywny.

Kapitalnie!

Wesołych świąt, panie Malone!

Wczesnym sobotnim rankiem Shane znalazł pokój w motelu niedaleko indiańskiego rezerwatu. Zapłacił za trzy dni z góry i poprosił, by mu nie przeszkadzano.

Po wejściu do pokoju od razu położył się do łóżka. Kiedy jego oczy przywykły do ciemności, po prostu wpatrywał się w sufit. Przez całą drogę starał się nie myśleć o tym, co usłyszał. Był otępiały i nieludzko zmęczony.

Następnego dnia i w nocy zagłuszał wszelkie myśli, gapiąc się w telewizor.

Dopiero w niedzielę o świcie ubrał się i po raz pierwszy wyszedł z pokoju. Kilkaset metrów od motelu był niewielki sklep, w którym szybko zrobił podstawowe zakupy. Nabył szczoteczkę do zębów, pastę, dezodorant, szampon, krem do golenia i paczkę jednorazowych maszynek. Choć w brzuchu mu burczało, nie kupił niczego do jedzenia. Wiedział, że i tak nie byłby w stanie przełknąć ani kęsa. W pokoju stał

elektryczny czajnik i słoiczek z neską. To powinno mu wystarczyć.

Po drodze zajrzał do kościoła i zanotował godziny nabożeństw. Wszystko już sobie zaplanował - najpierw kawa, golenie, prysznic, a potem, jeśli będzie miał ochotę, kościół. Tak. To bardzo dobry plan. Zmuszający do działania.

Dwie godziny później ze spuszczoną głową wszedł do pustej jeszcze świątyni i usiadł w jednej z tylnych ławek.

Po chwili miejsce obok niego zajął jakiś stary Indianin, a zaraz potem zaczęło się nabożeństwo. W kazaniu duchowny mówił o przebaczeniu, ale do Shane'a docierało tylko co trzecie słowo. Z wciąż spuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami przypominał sobie słowa, które usłyszał przed dwoma dniami.

Zdumienie w głosie Mary, która zadawała Krukowi kolejne pytania, było niczym w porównaniu z tym, co przeżył on sam, wsłuchując się w odpowiedzi starego Indianina.

„A więc Shane jest twoim synem?”.

Potem długa cisza. Shane przypomniał sobie, jak wstrzymał wtedy oddech.

„Tak”.

Jedno słowo i zmienił się cały jego świat.

„Czy Max o tym wie?”

„Tak”.

Dwaj najważniejsi w jego życiu mężczyźni zawiedli jego zaufanie. Obaj go okłamali.

Nabożeństwo się skończyło, ale Shane nie ruszał się z miejsca. Myślami wrócił do chwili sprzed ponad roku, kiedy to Kruk opowiadał jemu i braciom o śmierci ich matki i o tym, jak Ryder ją znalazł chwilę potem, jak podcięła sobie żyły. W swojej opowieści Indianin nazywał ją po imieniu - Christina - co tylko przez chwilę wydało się Shane'owi dziwne. Wówczas

skupił całą swą uwagę na Ryderze i jego gniewie. Teraz przypomniał sobie dalsze słowa Kruka.

„Siadywaliśmy na ławeczce i rozmawialiśmy. Była jak zraniony ptak...”.

Wszyscy wtedy pomyśleli, że Kruk ma na myśli chorobę umysłową ich matki... i może tak było. Teraz jednak Shane wiedział, że chodziło o coś więcej.

Odchylił się do tyłu w ławie i zaczął wpatrywać w przestrzeń. Skoro jego ojciec... Max... wiedział o Kruku, to czemu pozwolił mu zostać na ranchu? Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego Indianin nigdy nie siadał z nimi do posiłków.

Zaskoczony własną głupotą, aż potrząsnął głową. Przecież przez tyle lat co chwila natykał się na jakieś znaki, a wcale ich nie zauważał - sposób, w jaki ojciec i Kruk ze sobą rozmawiali, kiedy już ich ścieżki się przecięły: uprzejmie, ale chłodno, krótko i węzłowato. Teraz stało się jasne, dlaczego po śmierci matki Max zabrał Rydera do Michigan, a starszego syna zostawił z Krukiem. Owszem, Shane sam o to prosił, ale ojciec nawet nie próbował go namawiać do zmiany zdania.

Ojciec. Choć bardzo się starał, nie był w stanie myśleć o Maksie Malone inaczej.

Shane usłyszał jakiś ruch obok siebie, podniósł głowę i napotkał wzrok Indianina. Oprócz nich wszyscy już dawno wyszli z kościoła.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - spytał nieśmiało staruszek.

W pierwszym odruchu Shane chciał ostro zareagować, ale powstrzymał się na widok wyrazu twarzy nieznanego. Ten poczciwy Indianin był mniej więcej w wieku Kruka, może nawet razem spędzili dzieciństwo w rezerwacie.

- Sam nie wiem. Czuję się jakiś taki zagubiony... - odparł.

- To trafiłeś we właściwe miejsce - uśmiechnął się Indianin.

Kiedy Shane nie wrócił do niedzielnego popołudnia, Jenny poczuła, że nie jest w stanie dłużej udawać, iż wszystko jest w porządku. W sobotę powiedziała wszystkim, że Shane wyjechał na jakiś czas, ale nikt z domowników nie wydawał się tym zbytnio zaniepokojony. Umocniło ją to w przekonaniu, że to ona jest powodem jego nagłego wyjazdu.

Gdy Ryder i Billy zajęci byli w stajni, zapukała nieśmiało do drzwi Savanny.

- Miałam nadzieję, że do mnie zajrzysz - powitała ją uśmiechem młoda mama.

- A nie wolałabyś się zdrzemnąć, póki mały śpi?

- Nic innego nie robię. Ryder w ogóle nie pozwala mi wstawać.

Jenny usiadła na łóżku i patrzyła na śpiące w koszyku niemowlę.

- No powiedz wreszcie, co cię gryzie.

- To aż tak widać? - zaniepokoiła się Jenny.

- Pokłóciłaś się z Shane'em? To dlatego wyjechał?

- Nie. Chciałabym, żeby to było takie proste.

- Pewnie domyślasz się, że Ryder powiedział mi, iż w piątek, szukając Billy'ego, zastał was razem w łóżku. Podobno ani trochę nie wyglądaliście na skłóconych - dodała z domyślnym uśmieszkiem.

Jenny od razu przypomniała sobie tamtą chwilę.

- Do końca życia nie zapomnę dnia czwartego grudnia.

- Ja też nie! - zaśmiała się Savanna. - Ale nie o tym rozmawiamy. Nie możesz mi powiedzieć, co się stało? Obiecuję, że nie powiem Ryderowi. Zaufaj mi.

Zaufać? Jakie to dziwne, że Savanna użyła akurat tego słowa.

- Ja też bym chciała wiedzieć, co się stało - ciężko westchnęła Jenny. - Czułam się jak w niebie, a chwilę potem Shane po prostu zniknął.

- Spróbuj sobie przypomnieć wszystko, co się wtedy wydarzyło - próbowała jej pomóc Savanna.

- Byłam przekonana, że poszedł do Kruka, ale najwyraźniej nie. Kiedy rano powiedziałam staremu o wyjeździe Shane'a, był tak samo zaskoczony jak ja. Powiedział, że tamtej nocy w ogóle go nie widział... że nawet nie miał pojęcia, że Billy zaginął.

Savanna skrzyżowała ręce na piersi i zmarszczyła brwi.

- Gdyby to Ryder wyciął taki numer, nikt by się nie zdziwił. Ale Shane? On jest jak skała. Nie znam nikogo równie spokojnego i rozważnego jak on - może oprócz Kruka. Rozmawiałaś o tym z Mary?

- Nie. Wszyscy tak się cieszą narodzinami małego, że nie chciałam im psuć nastroju. Zresztą, co babcia może wiedzieć o zniknięciu Shane'a?

- Nie wiem. Ale spytać nie zaszkodzi. Obiecała tu zajrzeć koło drugiej.

Jenny w milczeniu skubała róg poduszki.

- Czy jeszcze coś przede mną ukrywasz? - spytała łagodnie Savanna.

Jenny nie była już w stanie dłużej powstrzymać łez.

- Co takiego ciągnie mężczyzn z rodziny Malone'ów do dziewczyn z Michigan? - spytała z goryczą. - Nawet Josh zwariował na punkcie tej studentki z Ann Arbor.

- Jen. - Savanna spojrzała jej prosto w oczy. - Nie odbiegaj od tematu.

- Jestem w ciąży - wyjąkała wreszcie.

- A... ale to było przecież zaledwie dwa dni temu... No to jak...

- W chacie Josha. W czasie tej śnieżycy.

- Aha! Shane wie?
- Nie, dopiero wczoraj zrobiłam sobie próbę ciążową.
- I czekałaś tak długo, żeby mi o tym powiedzieć?
- Musiałam się zastanowić, co z tym wszystkim zrobić.
- I co?
- I postanowiłam, że jeśli do wtorku Shane się nie odezwie, to w środę wracam do domu.

Savanna aż usiadła.

- Nie, Jenny, proszę. Kochasz to miejsce. Musisz zostać. Zresztą już za dwa tygodnie Boże Narodzenie.

- To ponad moje siły. - Jenny mocno uściśnęła rękę przyjaciółki. Po policzku spływały jej strumienie łez. - Chciałabym tu zostać, ale nie potrafiłabym widywać Shane'a i udawać, że nic się nie stało. A co powiem wszystkim, kiedy moja ciąża zacznie być widoczna? Jeśli Max nie przystawi Shane'owi pistoletu do głowy, to zrobi to Kruk. Nie chcę zdobywać męża w ten sposób. Rozumiesz mnie, prawda?

- Chętnie bym go udusiła. - Savanna także zaczęła płakać.
- Kiedy Ryder powiedział mi o was, byłam pewna, że...
- Wiem, kochanie, wiem. Ja też.
- Wierzę jednak, że Shane odezwie się przed środą. Może rzeczywiście miał ważny powód...

Przerwało im ciche pukanie do drzwi i do pokoju weszła Mary.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Shane siedział naprzeciwko Charliego w przydrożnej restauracji i słuchał z przejęciem jego opowieści o życiu w rezerwacie. Niektóre z nich znał już od Kruka, ale dopiero teraz wydały mu się bardzo ważne.

Teraz, kiedy już wiedział...

W ciągu pierwszej godziny Charlie poznał powód zdenerwowania Shane'a i słuchał bez komentarza, kiedy ten wylewał przed nim swą złość na Maksa i Kruka.

Kiedy przyszła jego kolej, nie nawiązał do tego, co usłyszał, lecz zaczął wspominać Kruka i Mary, których dobrze znał w młodości.

- Chodziliśmy do tej samej szkoły misyjnej w rezerwacie, ale oboje przerwali ją chyba w szóstej klasie, bo musieli pomagać rodzinom. Ja miałem więcej szczęścia. Posiadaliśmy dużo koni, więc rodziców stać było na opłacenie mojej nauki. Poszedłem do szkoły średniej w Hardin, a potem skończyłem studia rolnicze.

Shane zauważył, że choć Charlie mówi jak człowiek wykształcony, jego intonacja zachowała charakterystyczną śpiewną kadencję. Przypomniawszy sobie, że Kruk mówił mu, iż starsi Indianie rozmawiają z pobratymcami w ich własnym języku, dlatego ci, którzy rzadko opuszczają rezerwat, niechętnie mówią po angielsku.

- Ich rodziny były bardzo biedne - wyjaśnił Charlie. - Kiedy więc jakiś inny mężczyzna zaproponował ojcu Mary dużo koni, Kruk nie mógł z nim konkurować. Zresztą ojciec tego mężczyzny ocalił kiedyś życie staremu Moonowi, więc ten miał wobec niego dług wdzięczności. Dobito targu i Mary spełniła wolę ojca.

Przed oczami Shane'a stanęła twarz Mary. Widać było na niej trudy życia.

- Kiedy Kruk przyszedł mnie odwiedzić, był załamany. Nie wiedział, co robić... Miałem małą chatkę na brzegu Little Big Horn. Wciąż ją mam.

Shane słyszał o tym miejscu, ale nigdy go nie widział. W napięciu czekał na dalsze słowa Charliego.

- Najpierw pościmy cztery dni, a potem idziemy do takiej chatki i słuchamy Wielkiego Ducha... tego cichego głosu w naszym wnętrzu, który zawsze mówi prawdę... Który wie, co należy zrobić. - Charlie zamilkł na chwilę, jakby zastanawiał się nad czymś ważnym. - Kiedy ostatnio jadłeś?

- W piątek wieczorem - odparł Shane, wiedząc już, do czego zmierza ta rozmowa.

- We wtorek wieczorem mógłbym rozpalić tam ognisko... i posiedzieć z tobą.

Przed podjęciem decyzji Shane chciał dowiedzieć się czegoś więcej o Kruku.

- Czy to właśnie po pobycie w twojej chacie Kruk opuścił rezerwat?

- Tak. Wkrótce potem napisał do mnie, że pracuje przy koniach na ranchu Malone'ów. Wrócił dopiero po pogrzebie męża i syna Mary. Nie na długo, a i potem rzadko tu zaglądał. Mary bardzo cierpiała i przez lata w ogóle nie wychodziła z domu. W końcu poszła do kościoła i potem zaczęła spotykać się z dawnymi przyjaciółmi, ale Kruk już jej nie odwiedzał, bo myślał, że sprawia jej tylko ból. Bardzo się ucieszyłem, kiedy usłyszałem, że pojechała go odwiedzić. Może jeszcze znajdą razem szczęście.

Zapach smażonego bekonu podrażnił nozdrza Shane'a, lecz postanowił się nie poddawać. Wytrzyma jeszcze dwa dni. Wiedział, jakie znaczenie ma dla Indian liczba „cztery”.

Dla Indian, powtórzył w myślach.

Ja też jestem Indianinem.

Kelnerka podała im kubki z kawą i Shane przez chwilę ogrzewał ręce, trzymając w nich ciepłe naczynie. Zastanawiał się nad propozycją Charliego.

- Tak - odparł, kiedy był już pewien.

Charlie uśmiechnął się i kiwnął głową.

- We wtorek wieczorem, po zmierzchu. Narysuję ci mapę. We wtorek po południu, kiedy mały zasnął, Savanna zapukała do pokoju Jenny.

- Wchodź.

Jenny usiadła na łóżku obok otwartych walizek. Bała się tej rozmowy, ale wiedziała, że jest nieunikniona.

- Może się jeszcze zastanowisz? Nie podoba mi się, że w święta będziesz siedziała sama, podczas gdy my...

My? To właśnie był problem. Jenny poklepała Savannę po kolanie, wstała i wróciła do pakowania.

- Josh obiecał, że rano zawiezie mnie na lotnisko. Jestem na liście oczekujących, ale zapewniono mnie, że dla jednej osoby znajdzie się miejsce w samolocie. Zresztą Josh przy okazji odwiedzi kogoś w mieście.

- Ciekawe, kogo - parsknęła śmiechem Savanna.

- Słyszałaś o tej studentce Maksa, którą poznał na przyjęciu?

- Trochę.

- Ryder mówił, że Josh nie mógł od niej oderwać oczu.

Savanna zamilkła, a po chwili zaczęła pociągać nosem.

- Przepraszam cię, kochanie, ale naprawdę wszystko dobrze przemyślałam. Choć wcale nie chcę wyjeżdżać, tak będzie najlepiej. Wiesz, myślałam ostatnio trochę o mamie i zastanawiałam się... - Jenny zawahała się na chwilę.

- No?

- Czy była już w ciąży, kiedy wychodziła za mojego ojca. Może ożenił się z nią tylko z poczucia obowiązku? - Jenny zamknęła jedną walizkę i zabrała się za następną. - I przez całe

życie przepelniała ją złość do całego świata. Savanno, ja nie chcę być taka jak ona.

- Ale ona myślała, że twój ojciec ją zostawił. Nie wiedziała, że umarł. Twoja sytuacja jest zupełnie inna.

Jenny usiadła na podłodze i spojrzała na przyjaciółkę.

- Czyżby? Skąd możemy wiedzieć, co wydarzyło się przed odejściem taty? Może od początku matka wiedziała, że tak naprawdę Sam wcale jej nie kocha... Że ożenił się z nią tylko z mojego powodu. Zresztą znasz Shane'a. Gdybym mu powiedziała, że noszę jego dziecko, na pewno doszedłby do wniosku, że jego obowiązkiem jest ożenić się ze mną. Czy nie rozumiesz, że nie mogę spędzić życia z mężczyzną, który wcale mnie nie kocha?

- A skąd wiesz, że nie?

Nad tym pytaniem Jenny musiała się poważnie zastanowić. W piątek była taka podniecona i szczęśliwa, że spontanicznie zaciągnęła Shane'a do łóżka. Który mężczyzna by odmówił? I to ona wyznała miłość, a nie on. Choć wtedy poprosiła, by nic nie mówił, była pewna, że w niedługim czasie zapewni ją o swoich uczuciach. A on po prostu ją porzucił.

- Gdyby naprawdę mnie kochał - powiedziała, bardziej do siebie niż do Savanny - to przynajmniej by zadzwonił. Jeśli potrzebuje czasu, by zastanowić się nad swoimi uczuciami wobec mnie, to czy nie mógł mi tego powiedzieć przed wyjazdem? A kiedy rozmawialiśmy przez telefon, po prostu się rozłączył. Co mam o tym myśleć?

- Rozmawiałaś o tym z Mary albo Krukiem? Jenny pokręciła głową.

- Wiem, że Shane nie rozmawiał z nimi przed wyjazdem, więc co mogliby mi powiedzieć?

- Nie wiem, ale zawsze warto spróbować. - Savanna wstała i wyciągnęła rękę do przyjaciółki. - Chodź. Poproszę

Hannę, żeby przez chwilę popilnowała małego. Prawie od tygodnia nie wychodziłam z domu. Mam iść sama, czy pójdziesz ze mną?

Wciąż nie przekonana, Jenny podążyła za nią.

- Ależ ty jesteś uparta - jęknęła.

- Kto z kim przestaje, takim się staje - zaśmiała się Savanna.

O zmierzchu Shane ruszył na południe autostradą numer 90 w stronę rezerwatu. Po dziesięciu kilometrach minął college Little Big Horn i małą grupkę studentów. Potem kilka, zamkniętych już, sklepów i warsztatów. Wąskimi, wymarłymi uliczkami dojechał aż na rozległe łąki, które odwiedził kiedyś jako dziecko. W sierpniu odbywał się tam zawsze indiański festyn i Kruk zabrał go na rodeo i Taniec Słońca. Noc spędzili w jednym z namiotów, rozstawionych specjalnie na tę okazję. Ojciec pracował wtedy w Ann Arbor i kiedy wrócił, nie był zachwycony tą wycieczką syna. Dopiero teraz Shane zrozumiał przyczynę jego gniewu. Od tamtej pory miał całkowity zakaz odwiedzania rezerwatu.

Shane zatrzymał auto, zapalił lampkę i po raz kolejny przyjrzał się ręcznie wyrysowanej mapce. Obok na siedzeniu leżał telefon. Patrząc na niego, przypomniał sobie, kiedy korzystał z niego po raz ostatni.

Jenny! Co ona teraz o nim myśli?

Nie po raz pierwszy pojawiła się w jego myślach, lecz w tej chwili wydała mu się kimś zupełnie nierealnym. Podobnie nierzeczywiste wydawało mu się całe dotychczasowe życie. Na przykład Ryder i Josh. Są zaledwie jego braćmi przyrodniymi i nawet o tym nie wiedzą. Czy na pewno? Może tylko on nie był dopuszczony do rodzinnej tajemnicy? Jednak szybko uznał ten pomysł za paranoiczny i pomyślał o kimś innym.

O Maxwellu Malone - swoim ojcu. W każdym razie o kimś, kto jego ojca udawał.

Pozwolił, by Shane nosił jego nazwisko. Może i on dowiedział się o wszystkim dużo później?

To było wtedy, gdy Shane zaczął chodzić do szkoły. Josha nie było jeszcze na świecie. Ojciec po raz drugi wyjechał do Ann Arbor i tylko czasem przyjeżdżał na weekendy. Stosunki między nim a mamą były bardzo napięte. To wtedy Kruk zaczął uczyć Shane'a wszystkiego o koniach - i również wtedy Kruk i Max przestali ze sobą rozmawiać. Shane był pewien, że to tylko chwilowe nieporozumienie, które szybko zostanie zapomniane. Niestety, tak się nie stało, a on bał się spytać o powody.

Znów spojrzał na leżący obok telefon. Postanowił na razie z niego nie korzystać, włączył silnik i ruszył przed siebie. Jutro wróci do domu i wszystko wyjaśni Jenny. O takich sprawach nie można rozmawiać przez telefon. Muszą stać twarzą w twarz, by ta dziewczyna naprawdę zrozumiała, co przeżył Shane. Owszem, będzie na niego zła, ale szybko jej to minie. Zrozumie lepiej od innych, że Shane najpierw musiał sam się uporać ze swoimi problemami. Że dopiero wtedy będzie w stanie wypowiedzieć słowa, na które tak bardzo czekała.

Marzył, by noc się już skończyła. Tak bardzo chciał być znów być w Joeville z Jenny. Nie spieszył się natomiast do rozmowy z Krukiem i z ojcem. Co im powie? I co do nich naprawdę czuje? Czy wszystko się zmieni, kiedy dowiedzą się, że w końcu i on poznał prawdę?

Z ciężkim westchnieniem znów spojrzał na mapę. Potem, nie spiesząc się, ruszył wąską, polną dróżką. Kiedy ostro skręciła w lewo, dostrzegł skromny, brązowy domek, a obok małą stajnię i oborę. Nad przepływającą niedaleko rzeczką stał

wysoki, biały indiański namiot. Między domem a namiotem płonął ogromny, bijący ku niebu ogień.

Shane zaparkował dżipa przy drodze i ruszył przez śnieg w stronę ogniska, gdzie obiecał na niego czekać Charlie. Od razu zauważył stare wierzby, tworzące nad namiotem kopułę z gałęzi. Obok, na sznurach, powiewały kawały surowego płótna i skór. A więc to tu miał spędzić dzisiejszą noc.

Przez kilka godzin siedzieli w milczeniu, potem stary Indianin dosypał do ognia garść aromatycznych ziół i zostawił Shane'a samego.

Czy to z głodu, czy z powodu drażniącego zmysły tajemniczego zapachu, Shane wkrótce poczuł, jak opuszcza go gniew i żal. Potem przed jego oczami pojawiła się twarz Jenny. Przypomniawszy sobie jej miłosne wyznanie. Zrozumiał, że musi tu siedzieć tak długo, aż odnajdzie spokój i samego siebie, kimkolwiek miałby być. I że musi to zrobić zarówno dla siebie, jak i dla niej.

Powstrzymując łzy, Jenny po kolei pożegnała się ze wszystkimi. To, co można było powiedzieć, zostało powiedziane już poprzedniego dnia. Odwiedziny u Mary i Kruka nie przyniosły niczego nowego. Tak jak podejrzewała, nie wiedzieli, dokąd pojechał Shane. Jednak miała wrażenie, że czegoś się domyślają. Choć żadne z nich nie było gadułą, wczoraj wieczorem zbyt skwapliwie, nawet jak na swoje zwyczaje, zakończyli rozmowę. Wzmogło to jeszcze bardziej podejrzewania Jenny. A więc wiedzą, że to ona jest przyczyną wyjazdu Shane'a i po prostu nie chcą sprawiać jej przykrości.

Na koniec pożegnała się z Savanną. Kiedy przyjaciółka zaczęła płakać, Jenny też nie była już w stanie powstrzymać łez. Opuszczenie przyjaciółki, Billy'ego, maleństwa i babci było bardzo trudną decyzją. Musiała ją jednak podjąć, bo życie w pobliżu Shane'a byłoby nie do zniesienia.

Westchnęła głęboko i spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Była ósma czterdzieści pięć, jej samolot wylatywał tuż przed dwunastą. Pora ruszać.

- Savanno... obiecaj mi, że nic nie powiesz... - Nie była w stanie wymówić imienia ukochanego.

- Nie. - Savanna pokręciła głową. - Nie prosź mnie o to. Jenny mocno chwyciła ją za ramiona.

- Musisz mi obiecać, proszę.

- Nnnie... Nie mogę ci tego przyrzec, skarbie. Spróbuję, ale obiecać nie mogę.

Jenny wiedziała, że nic już więcej nie uzyska, a na dalszą dyskusję nie miała czasu. Lecz kiedy wróci do domu, natychmiast zadzwoni do Savanny i jeszcze raz poprosi ją o zachowanie tajemnicy.

Po kilku godzinach snu i szybkim prysznicu Shane uregulował rachunek w motelu i ruszył z powrotem do domu.

Do domu! Choć bardzo już chciał tam być, bał się pierwszego spotkania z ojcem i Krukiem. Wiedział, że nie będzie to łatwe. Ale im szybciej wyłoży kawę na ławę, tym szybciej ta bolesna rana zacznie się goić.

W pewnej chwili spojrzał na licznik i natychmiast zwolnił. Mandat za przekroczenie szybkości może tylko opóźnić jego powrót.

W Billings zatrzymał się przed pierwszą napotkaną restauracją i kupił kilka bułeczek.

Drogi były odgarnięte, śnieg nie padał, powinien zatem dojechać na ranczo mniej więcej o wpół do dziesiątej.

Około północy postanowił, że najpierw porozmawia z Jenny i wszystko jej wyjaśni, a dopiero potem spotka się z ojcem. Z człowiekiem, który dał mu nazwisko i który zawsze będzie dla niego tatą. Gdy wszystko przemyślał, zrozumiał, że Max zasługuje na ogromny szacunek. Mało kto zachowałby

się równie wspaniale, bo przecież Shane ani przez moment nie czuł się niekochany czy odrzucony.

A na koniec porozmawia z Krukiem.

Im bliżej był rancza, tym jechał szybciej, bowiem zaczynał ogarniać go gorączkowy niepokój. Czy Mary nadał mieszka z Krukiem? A jeśli postanowiła wprowadzić się do niego na stałe?

Ta mała chatka była dla Shane'a prawdziwym domem, natomiast mieszkanie, które zajmował w głównym budynku rancza, służyło mu tylko od czasu do czasu za sypialnię, gdy odwiedzał rodzinę. Ale Jenny na pewno będzie zachwycona, mogąc stale przebywać pod jednym dachem z Savanną i jej rodziną. A może powinni sobie zbudować własny dom na terenie rancza?

Rozbawiony tymi myślami, aż parsknął śmiechem. Przecież nie wie, czy Jenny w ogóle będzie chciała z nim rozmawiać, a on już tak szczegółowo planuje ich wspólną przyszłość.

Uspokoił się dopiero wtedy, gdy znalazł się na podjeździe. Oczywiście, że Jenny zechce z nim rozmawiać. Przecież powiedziała, że go kocha.

Szybko wyskoczył z auta i pędem wbiegł do kuchni. Przy stole siedział Billy z braciszkiem w ramionach.

- Cześć, wujku. Gdzie byłeś?

Zanim zdążył odpowiedzieć, stanęła przed nim Savanna.

- Właśnie. Natychmiast mów, gdzie byłeś!

W jej głosie i zaczerwienionych od płaczu oczach były złość i ogromna pretensja. Hanna też nie patrzyła na niego życzliwie.

- Jak się pośpieszysz, to może jeszcze ją zatrzymasz - Savanna chwyciła go za ramiona i pchnęła w stronę w wyjścia.

- O czym ty mówisz?

- Jenny jest w drodze na lotnisko... - Broda Savanny zaczęła drżeć. - I to wszystko twoja wina!

- Leci... do Michigan?

- Nie, do Disneylandu, idioto!

- Dawno wyjechała? - Shane był już w progu.

- Jakieś trzy kwadranse temu.

Gdy wskakiwał do dżipa, usłyszał jeszcze słowa:

- Bez niej nawet nie waż się tu wracać!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wjeżdżając na parking przy lotnisku, Shane gorączkowo rozejrzał się po niebie. Ponieważ nie dostrzegł żadnego samolotu, odetchnął z ulgą i pędem ruszył do hali odlotów. Niestety, gdy zdyszany wbiegł na piętro, nie zastał tam nikogo. Na tablicy ujrzał informację o ostatnim rejsie. Do Detroit. Szybko podbiegł do urzędniczki.

- Czy na pokładzie była pasażerka o nazwisku Jenny Moon?

- Bardzo mi przykro, ale nie udzielamy tego typu informacji - odparła urzędniczka, nie odrywając wzroku od klawiatury komputera.

- . Wobec tego musi pani natychmiast zatrzymać ten samolot! Jest w nim ktoś, kto nie powinien lecieć. Niech pani natychmiast zrobi to, o co proszę.

Kobieta spojrzała na niego jak na wariata i sięgnęła po telefon.

- Co ma pan na myśli? Czy pasażerom coś grozi?

- Nie, ale w samolocie jest ktoś, z kim muszę porozmawiać!

Nie, to jest bez sensu, gadam jak idiota, pomyślał. Jednak bijąca z jego twarzy rozpacz wzbudziła litość urzędniczki.

- Mogę tylko powiedzieć panu, że mieliśmy komplet pasażerów i że dwie osoby, które były na liście oczekujących, nie dostały się na pokład.

Shane odwrócił się i jeszcze raz rozejrzał po hali. Nie zobaczył Jenny, ale wciąż nie tracił nadziei. Jeśli nie wsiadła do samolotu, to gdzie jest teraz? I w ogóle jak dotarła na lotnisko? Pewnie przywiózł ją Josh albo tata. Jednak ich również nigdzie nie zauważył.

- Dzięki! - zawołał i zbiegł na dół.

Na parkingu stało kilka aut, ale żadne nie było znajome. W pewnej chwili ktoś otworzył drzwi do toalety i Shane

zamarł. To była Jenny. Też go zauważyła i natychmiast cofnęła się do środka.

Podszedł do drzwi i oparł się o framugę. Wiedział, że w końcu wyjdzie, a jeśli nie...

Kiedy nie mógł już dłużej wytrzymać, po prostu wszedł do środka. Po raz pierwszy był w damskiej toalecie.

- Nie możesz tu wchodzić - szepnęła Jenny.

- Ale wszedłem - mruknął. Nie tak wyobrażał sobie to spotkanie. - Jenny... Bardzo cię przepraszam.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Za co?

Za co? Za ostatnie cztery dni.

- Rozmawiałeś z Savanną, zanim ruszyłeś za mną w pościg?

- Oczywiście. Powiedziała mi, dokąd pojechałaś. - Shane zdobył się nawet na nieśmiały uśmiech. - Powiedziała, żebym wziął d... w troki i nie wracał bez ciebie.

Jenny patrzyła na niego uważnie, jakby na coś czekała.

- Nie powiedziałem jej, gdzie byłem, jeśli o to ci chodzi. Chciałem najpierw porozmawiać o tym z tobą.

Kiedy zrobił krok w jej stronę, zasłoniła się ramionami.

- Jen, czy musimy rozmawiać tutaj?

- W ogóle nie musimy rozmawiać. Chciała wyjść, lecz Shane zastąpił jej drogę.

- Skoro tak bardzo chcesz rozmawiać, to dlaczego nie zadzwoniłeś?

- Nie... nie mogłem.

- Tak, jasne! Przez cztery dni nie mogłeś znaleźć telefonu. A w komórce wysiadła bateria.

- Nie dziwię się, że jesteś zła.

Zauważył, że gniew powoli znika z jej oczu i wtedy popełnił błąd. Wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Jenny.

Dziewczyna gwałtownie strząsnęła dłoń Shane'a, otworzyła drzwi i wybiegła z łazienki. Dogonił ją dopiero na schodach.

- No, dobrze, biegnij sobie, uciekaj! Ale do końca życia będziesz się zastanawiała, co takiego chciałem ci powiedzieć. I nigdy się tego nie dowiesz, jeśli będziesz się tak idiotycznie zachowywać!

Na dole schodów Jenny odwróciła się i z oburzeniem spojrzała mu w oczy.

- Idiotycznie!?! - krzyknęła z furją. Potem zacisnęła zęby i ściszyła głos. - Zaufałam ci, Malone.

Znów chciał położyć jej rękę na ramieniu, ale powstrzymał się.

- Wiem, Jen. - Choć odwrócona do niego tyłem, nie uciekała już, co dodało mu nieco otuchy. - Jeśli tylko mnie wysłuchasz, nigdy więcej nie dam ci powodu, byś we mnie zwątpiła.

Chciał zaproponować, by gdzieś usiedli, ale bał się ją spłoszyć. Mówił więc dalej - do jej pleców.

- Kiedy w piątek wieczorem poszedłem do Kruka, podsłuchałem jego rozmowę z Mary. - Jenny uniosła głowę, ale nie odwróciła się do niego. - Usłyszałem coś, czego nigdy nie powinienem był usłyszeć... i... na pewien czas przestałem być sobą.

Jenny, wciąż nieufna i wściekła, lecz również bardzo zaintrygowana, ostrożnie spojrzała na Shane'a.

- Nie byłem w stanie z tobą rozmawiać, Jen. Nie potrafiłem nawet myśleć.

W jej oczach dojrzał pierwsze oznaki zrozumienia. Przez chwilę patrzyła na niego uważnie, a potem pogładziła go po policzku.

- Szkoda, że nie możemy pojechać do chaty Josha... i tam, tylko we dwoje... porozmawiać o wszystkim przy kominku - powiedziała wreszcie.

Choć wokół nich kręcili się pasażerowie, oboje nie zwracali na nich uwagi. Shane ujął dłonie dziewczyny i mocno je ścisnął.

- Możemy tak zrobić - szepnął. - Jeśli tylko chcesz. Kiedy pokręciła głową, pomyślał, że znów ją utracił.

- Tak długo nie mogę czekać - powiedziała,

- Możemy porozmawiać w aucie. - W oczach Shane'a pojawiły się łzy.

- Tak, w drodze do domu.

- Jesteś pewna, że...

- Jeśli nie spodoba mi się to, co usłyszę, zawsze mogę usiąść do następnego samolotu.

Uśmiechnęła się, a Shane poczuł, że wreszcie może normalnie oddychać.

Chcieli odebrać bagaż panny Moon, ale okazało się, że przez pomyłkę poleciał do Minneapolis. Dawna Jenny zrobiłaby raban na całe lotnisko, teraz jednak tylko machnęła ręką.

Kiedy dojechali do Livingston, знаła już całą prawdę. A więc znów instynkt jej nie zawiódł. Miała rację, że mimo urażonej dumy zgodziła się wysłuchać Shane'a.

- Jak chcesz to wszystko załatwić? - spytała, kiedy z autostrady zjechali na drogę prowadzącą do rancza.

- Myślałem, że porozmawiam z ojcem, jeśli będzie w domu.

- Był, kiedy wyjeżdżałam, i chyba nigdzie się nie wybierał. Ale byłam tak zdenerwowana, że coś mogło umknąć mojej uwagi.

- Jeszcze raz cię przepraszam, Jenny. - Shane mocno uścisnął jej dłoń. - To wszystko musiało być dla ciebie straszne.

Owszem, było. Teraz jednak już wszystko rozumiała. Wciąż jednak nie była to odpowiednia chwila, by powiedzieć

mu o drugiej przyczynie jej niepokoju. I bez tego Shane miał dość problemów.

Zanim jeszcze auto zatrzymało się na podjeździe, z domu wybiegła Savanna i od razu chwyciła Jenny w ramiona. Ścisnęły się mocno, płacząc i śmiejąc się na przemian. Kiedy weszły do kuchni, powitała je rozpromieniona Hanna.

- No, no, ta nasza Jenny to istny zły szeląg. Zawsze wraca. I to w porę, by zająć się obiadem. Bo ja jestem wykończona.

Poklepała dziewczynę po plecach i poszła do siebie. a w tej samej chwili do kuchni zajrzał Max.

- Jenny! Wróciłaś! - Objął ją serdecznie i spojrzał na Shane'a. - I ty też, synu. Co to za pilną sprawę miałeś do załatwienia?

Shane spojrzał na ojca, potem na Jenny i znów na ojca.

- Możemy chwilę porozmawiać?

Max zmarszczył brwi, ale zaraz się uśmiechnął.

- Jasne. Może rozpalimy ogień na kominku w salonie? I wypijemy drinka?

- Nie, dzięki. Wolałbym pogadać z tobą w twoim gabinecie.

- Jak sobie życzysz, synu.

Gdy wychodzili, serce Jenny aż ścisnęło się z bólu. Martwiła się, jak Max przyjmie słowa Shane'a. Czy przez jakiś czas stosunki między nimi ulegną ochłodzeniu? Max miał wiele lat na to, by pogodzić się z faktami... Ciekawe, czy wiedział o tym od początku, czy też...

- Jenny? Co się z tobą dzieje? - Savanna stanęła obok niej i objęła ją w pasie.

- To długa historia.

- Christian śpi jak suseł, a Billy pomaga Ryderowi przy koniach.

- Christian? A więc tak nazwaliście małego? - Jenny uśmiechnęła się z rozczeniem.

- Tak, bo imię to kojarzy się z Bożym Narodzeniem i z naszymi wysłuchanymi modlitwami. Nie wiem jak ty, ale ja tamtej nocy żarliwie się modliłam.

- Ty? - Jenny przypomniała sobie, jak w ciemnym pokoju Maksa błagała Boga o pomoc. - Dobrze, że nie słyszałaś moich modlitw. Christian Malone. Ładnie.

- W dodatku matka Rydera miała na imię Christina. Uśmiech zniknął z twarzy Jenny. Christina była także matką Shane'a. Nie powiedział, co teraz do niej czuje. Jeszcze tylu rzeczy jej nie powiedział.

- Chodź. Na obiad zjemy jakieś resztki, a teraz usiadźmy przy kominku. Tak się cieszę, że wróciłaś. Ależ to będą święta!

Uzyskawszy od Savanny obietnicę, że nic nie powie Ryderowi ani Joshowi, Jenny opowiedziała jej całą historię.

- Biedny Shane... - Wzruszona Savanna pokiwała głową. - Dopiero w wieku trzydziestu trzech lat dowiedział się, że Max nie jest jego prawdziwym ojcem. Ależ to musiał być dla niego szok! I usłyszał to zupełnie przypadkiem. Jak on się teraz czuje?

Dopiero w tej chwili Jenny uświadomiła sobie, że nawet go o to nie zapytała. Zbyt była pochłonięta swoimi problemami.

- Jenny?

- Nie wiem, co on naprawdę myśli. To wszystko wymaga czasu. Dlatego chyba jest jeszcze za wcześnie, aby...

Savanna poprawiła ogień na kominku i usiadła na kanapie.

- Więc jeszcze nic mu nie powiedziałaś? - spytała szeptem.

Jenny była pewna, że podjęła właściwą decyzję. Nie, Shane jeszcze nie wie, że niedługo zostanie ojcem. Pokręciła

głową, z całych sił powstrzymując się od płaczu. Nie chciała wsiadać do tego samolotu i opuszczać ludzi, których pokochała. I nie zrobiła tego, choć sprawy między nią i Shane'em dalekie były od rozwiązania: A bolesna prawda była taka, że wciąż nie powiedział jej, że ją kocha. Nie chciał, żeby wyjeżdżała, to pewne. Ale od tego jeszcze daleka droga do miłości.

Długo jeszcze Savanna i Jenny, zapatrzone w ogień, siedziały w milczeniu.

Twarz Maksa zrobiła się papierowo blada. Shane nie był w stanie wytrzymać jego pełnego bólu wzroku.

Ojciec siedział na krześle przed swoim ogromnym biurkiem, a nie, jak zwykle, za nim, skąd zawsze wydawał się taki silny i pewny siebie. Teraz był słaby, załamany i nagle, w jednej chwili, postarzały o wiele lat.

Kiedy Max osunął się w krześle i zamknął oczy, Shane pożałował tego, co stało się w ciągu ostatnich kilku minut. Jeszcze przed chwilą był pewien, że nie wolno ukrywać prawdy. Teraz zrozumiał, że lepiej by się stało, gdyby zostawił rzeczy takimi, jakie były. Przecież Max i Shane przez tyle lat pozostawali w przyjaźni i... miłości. Może ich wzajemne stosunki dalekie były od doskonałości, ale zawsze przepełnione były troską, wzajemnym zrozumieniem i uczuciem. A teraz, być może, ojca i syna rozdzieli przepaść, która położy się cieniem na ich dalszym życiu.

Max ciężko wstał z krzesła i podszedł do okna. Shane od razu stanął obok ojca i objął go ramieniem. Z trudem przełknął ślinę, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Tato... to nie znaczy, że cokolwiek się między nami zmieni. Jesteś wciąż moim ojcem... i zawsze nim będziesz.

Max odwrócił się i teraz z kolei on położył drżące ręce na ramionach syna.

- Zawsze cię kochałem, Shane... jakbyś... - Przez chwilę stali w milczeniu, mocno do siebie przytuleni. - Nie wiedziałem, jak ci powiedzieć.

- Nic nie mów, tato...Wszystko w porządku.

Max odsunął się delikatnie, wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł oczy.

- Sam dowiedziałem się prawdy dopiero wtedy, gdy chodziłeś już do szkoły. Byłeś młodszy od Billy'ego. Bałem się, że dla małego chłopca prawda będzie zbyt trudna do zniesienia.

Shane wrócił pamięcią do wycieczki z Krukiem do rezerwatu. Tak jak podejrzewał, to właśnie wtedy wszystko wyszło na jaw i tata wyjechał do Ann Arbor.

- To egoizm z mojej strony, że przez tyle lat milczałem. - Max wytarł nos i odzyskał panowanie nad sobą. - Miałeś prawo wiedzieć. Po prostu... zawsze mi się wydawało, że to nie jest jeszcze odpowiedni moment.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W piątek Jenny wymiotowała całe śniadanie. Wmawiała sobie, że to z powodu napięcia nerwowego, gdy jednak powtórzyło się to przez trzy kolejne ranki, wiedziała już, że to coś innego.

Savanna zapewniła ją, że nudności miną, Jenny jednak martwiła się przede wszystkim tym, że nie podzieliła się jeszcze swoją tajemnicą z Shane'em. Niestety, w jego obecnej sytuacji nie powinna się z tym spieszyć.

Wprawdzie kilka razy byli na spacerze i rozmawiali o tym, co się ostatnio wydarzyło, ale nigdy nie poruszyli tematu wzajemnych stosunków. Jak jednak będzie, gdy Shane poczuje się lepiej i spędzą razem noc? I obudzi go odgłos jej wymiotów? Zacznie się dopytywać, co się stało, a wówczas Jenny na pewno powie prawdę. Shane wyzna jej miłość i poprosi o rękę... Lecz czy postąpi tak dlatego, że naprawdę ją kocha, czy też z poczucia obowiązku? Tego Jenny nigdy się już nie dowie. Owszem, zależy mu na niej, to widać gołym okiem, lecz jej to nie wystarcza. Nie potrafi zadowolić się byle czym. Jest chciwa miłości i tylko jej pragnie." Miłość - lub samotność.

Jej matka zapewne znalazła się w podobnej sytuacji. Czy wyszła za mężczyznę, który tak naprawdę jej nie kochał? Była w ciąży, więc nie szczędził jej czułych słówek, lecz czy ona mu uwierzyła? Czy tak było? I czy dlatego przez całe życie nienawidziła całego świata? Im dłużej Jenny o tym myślała, tym bardziej była pewna, że nim ojciec ją opuścił, matka już była przepelniona goryczą. Bo gdyby było inaczej, czyż nie próbowałyby go odnaleźć?

Jenny wiedziała, że nigdy nie pozna odpowiedzi na te pytania, pragnęła jednak, by między nią i Shane'em było inaczej. Nie może i nie chce żyć tak jak matka, w poczuciu krzywdy i niespełnienia. Albo zdobędzie miłość Shane'a, albo

tuż po Bożym Narodzeniu wróci do Michigan, urodzi dziecko i sama je wychowa, w macierzyństwie odnajdując radość i sens istnienia.

W głębi duszy miała jednak nadzieję, że wyjazd nie będzie konieczny, bo Shane powie jej to, co tak bardzo pragnęła usłyszeć.

Kiedy do świąt pozostał zaledwie tydzień, jej optymizm zaczął słabnąć.

Rano przyszła Mary, by, jak co dzień, odwiedzić małego Chrisa. Kołyszając go do snu, podzieliła się z Savanną i Jenny najnowszą wiadomością. Nieśmiało oznajmiła, że ona i Kruk postanowili się pobrać. Dziewczyny były zachwycone.

- Zamieszkamy w moim domu w rezerwacie. Kruk uważa, że już pora, by się stąd wyniosł - dodała na koniec.

Max wchodził właśnie do pokoju i, słysząc te słowa, stanął jak wryty. Był tą nowiną równie mocno zaskoczony, jak Savanna i Jenny.

Synowa ujęła teścia pod ramię i przerwała panującą ciszę.

- Jak widzisz, Chris ma się znakomicie. Popatrz na te puciołowate policzki. Przybrał na wadze co najmniej pół kilo.

Max nieco się odprężył i podszedł do kołyski. Położył rękę na brzuszku małego i uśmiechnął się, zadowolony. Jego wnuk wcześniak nie miał żadnych problemów z oddychaniem.

- Nie będę szanownym paniom przeszkadzał - rzekł. - Chciałem tylko zobaczyć, jak miewa się mój ulubiony pacjent.

Zanim Savanna zdążyła coś powiedzieć, szybko wyszedł z pokoju.

- Biedny Max - westchnęła. - Jest taki...

- Kruk ma rację - przerwała cicho Mary. - Lepiej będzie, jak stąd wyjedziemy.

Max był w kuchni z Hanną, kiedy pojawiła się tam Mary.

- Mary - powiedział - czy mogłabyś zostać tu przez chwilę z Hanną? Chciałbym porozmawiać z Krukiem.

- Dobrze - zgodziła się Indianka.

Max nie planował spotkania z Krukiem, ale uznał, że tak będzie lepiej. Wolał działać spontanicznie, bo inaczej mógłby się rozmyślić.

Po raz ostatni był w tej chacie przed dwudziestu pięciu laty. Wówczas też nie była to przyjemna rozmowa.

Nadrabiając miną, mocno zastukał do drzwi. Co powie temu mężczyźnie, który jest ojcem Shane'a? Fakt, że Kruk dzielił kiedyś łóżko z Christiną, był już nieistotny. Teraz, gdy Shane zna prawdę, przyszła pora, by zrzucić z serca ogromny ciężar.

- Musimy porozmawiać - rzekł od razu, kiedy stary Indianin otworzył drzwi.

Kruk nie mrugnął nawet okiem.

- Tak - odparł i wskazał na starą kanapę stojącą przed kamiennym kominkiem.

Max wybrał jednak twarde krzesło.

Indianin milczał, Max, speszony, nie wiedział, od czego zacząć. Wybrał na początek bezpieczny temat.

- Słyszałem, jak Mary mówiła dziewczętom, że macie zamiar się pobrać. Moje gratulacje!

- Dziękuję.

- Mówiła, że wkrótce wyjeżdżacie i wracacie do rezerwatu.

- To prawda.

Max myślał, że za chwilę eksploduje. Kamienny spokój Kruka doprowadzał go do szału. Po co w ogóle tu przychodził? Co zamierzał osiągnąć?

- To twój syn... nie mój - odezwał się w końcu cicho Indianin.

Max był zaskoczony. Czyżby po tylu latach Kruk chciał wszystkiemu zaprzeczyć?

- Ja zawsze pozostanę tym, który nauczył go obchodzić się z końmi... mistrzem od koni, jak on mówi - ciągnął dalej Kruk. - Ciebie zawsze będzie nazywał ojcem. Tak powinno być.

To stwierdzenie zbiło Maksa z pantałyku. Głęboko odetchnął, czując, jak opuszczają go resztki złości.

- Przez cały czas - zaczął ostrożnie - kiedy mnie nie było, kiedy wyjeżdżałem, ty byłeś przy nim, - Dopiero teraz spojrzał w oczy staremu. - Shane wyrósł na dzielnego i dobrego człowieka. W jakimś stopniu to twoja zasługa. Chyba powinienem być ci za to wdzięczny.

- Nie. - Kruk potrząsnął głową. - Shane był dobrym i dzielnym człowiekiem, zanim jeszcze zamieszkałeś w Ann Arbor. Ja tylko pomogłem mu takim pozostać.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każdy pograżony we własnych myślach.

- Kiedy wyjeżdżacie? - spytał w końcu Max.

- Mary chce zostać z Jenny na święta, więc zaraz potem.

- Czy Shane wie?

- Jeszcze mu nie powiedziałem.

- Shane nie jest sobą, od kiedy...

- Wiem.

- Przypuszczam, że miotają nim sprzeczne uczucia.

- Nie musi między nami wybierać.

- My to wiemy, ale on? - Max wstał i zaczął spacerować przed kominkiem. - Chcesz dalej rozmawiać? - spytał, widząc zmęczenie na twarzy Indianina.

- Tak. Napijesz się piwa?

W pierwszej chwili Max chciał odmówić, lecz szybko zmienił zdanie.

- Czemu nie?

Po trzecim piwie mieli już obmyślony plan, jak pomóc Shane'owi - i nie tylko jemu. Na koniec Kruk zaproponował

Maksowi wypalenie fajki pokoju, nie mógł jednak sobie przypomnieć, gdzie ją położył.

Umówili się, że przed świętami spotkają się jeszcze raz. Max pożegnał się i postanowił wrócić do domu krótszą drogą - przez stajnie.

Od razu zauważył Shane'a, wychodzącego przeciwległymi drzwiami.

- Shane! - zawołał. - Zaczekaj.

Shane zawrócił i spotkał ojca w połowie drogi.

- Czy kobiety już ci powiedziały? - Max poklepał syna po ramieniu.

Shane wyczuł alkohol w oddechu ojca i z udawanym oburzeniem pomachał ręką.

- Robisz próbę przed świętami, tato? - zażartował. - A co mi kobiety miały zamiar powiedzieć?

- No, wiesz... Kruk chyba nie będzie miał mi złe, jeśli ci to powiem. Opiliśmy właśnie kilkoma piwami dobre wiadomości.

Teraz Shane był już pewien, że ojciec jest zalany w pestkę.

- Ty i Kruk? Tato... o czym ty mówisz?

- Kruk i Mary postanowili się pobrać. Czy to nie wspaniała nowina?

- Oczywiście - zaczaj ostrożnie Shane. Coś naprawdę musiało być nie tak. Max rzadko kiedy wypijał więcej niż jednego drinka. - Chwileczkę, czegoś tu nie rozumiem. Byłeś w chacie Kruka, ululaliście się piwem i zapanowała między wami zgoda?

- A tak! Nie uważasz, że już na to pora? I jeszcze coś. Mam nadzieję, że nie sprawi ci to przykrości, ale państwo młodzi postanowili zamieszkać w domu Mary w rezerwacie. Uwierz mi, wcale nie kazałem Krukowi wyjeżdżać. Oboje mogą tu zostać tak długo, jak chcą.

Shane wiedział, że ojciec mówi prawdę. Przez cały tydzień czuł, że coś się święci. Mógł się spodziewać, że Kruk tak postąpi. Indianin wolał zniknąć, niż stawiać innych w kłopotliwej sytuacji.

- Jest jedna dobra strona tego wszystkiego - przerwa) jego rozmyślenia Max. - Będziesz miał chatę tylko dla siebie Jeśli, oczywiście, wciąż chcesz w niej mieszkać.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu? Max odpowiedział dopiero po chwili.

- Nie, synu, nic a nic. Każdy potrzebuje swojego miejsca, a wiem, że zawsze dobrze się tam czuleś.

Rzeczywiście mieszkał tam tak długo, że chata Kruka stała się jego domem. Będzie nadal jadał z resztą rodziny, ale nareszcie stanie się panem na swoich włościach.

No, może półpanem, bo władzę podzielił się oczywiście z Jenny. Wreszcie wszystko zaczęło się układać po jego myśli.

Szczęśliwy i rozanielony, jakby również wypił kilka piw, Shane podszedł do ojca i mocno objął go ramieniem.

- Dzięki, tato. Za rozmowę z Krukiem... i za wszystko.

Kiedy Shane wszedł do kuchni, cała rodzina, oprócz ojca, siedziała przy stole. Jedli jakieś pyszności, rozmawiali i śmiali się. Dopóki nie zauważyli jego. Wtedy w pokoju zapanowała cisza.

Cholera! Czyżby ostatnio stał się takim beznadziejnym ponurakiem?

Zdjął kurtkę i wziął z talerza kanapkę.

- Nie przerywajcie sobie zabawy z mojego powodu - rzekł z szerokim uśmiechem. - Ale wybaczcie mi, bo muszę porwać waszą kucharkę.

Chwycił Jenny za rękę i pociągnął ją na górę. Było mu wszystko jedno, jak to wygląda. Musiał z nią porozmawiać na osobności, a jej pokój wydał mu się najodpowiedniejszym miejscem.

Jenny, śmiejąc się, bez protestu podążyła za nim.

Ledwo znaleźli się z pokoju, Shane chwycił ją w ramiona i mocno pocałował. Kiedy w końcu wypuścił ją z objęć, zakręciło jej się w głowie - lecz nie z powodu pocałunku.

Jednak Shane tego nie zauważył.

- Przepraszam cię, Jen - zaczął. - Wiem, że ostatnio byłem skryty i niezbyt miły. Myślę, że najgorsze już minęło. Teraz będzie już tylko lepiej.

Jenny czuła, jak gula w jej gardle robi się coraz większa. Z trudem zdobyła się na uśmiech.

- Wiem, przez co przeszedłeś, Shane. Nie musisz mnie przeproszać.

Boże, nie, nie teraz! Nie mogę teraz zwymiotować. Jeszcze chwilę, proszę!

- Słyszałaś nowinę o Kruku i Mary?

Jenny nie mogła już dłużej wytrzymać. Pobiegnęła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi. Odkręciła kran, by zagłuszyć krępujące odgłosy. Mimo to usłyszała, jak Shane stuka do drzwi.

- Jenny? Co się stało?

- Niedobrze mi - wyjąkała.

- Mam zawołać ojca?

- Nie!

- Mogę ci jakoś pomóc? Coś przynieść?

- Herbatniki i herbatę. - Szybko, chciała dodać, ale jednak się powstrzymała.

Kiedy usłyszała, że wrócił, wiedziała, że ta chwila, której tak się bała, nadeszła.

Wyszła z łazienki, usiadła na fotelu i zaczęła przeżuwać krakersa.

- Może coś zjadłaś? A może to grypa? - Shane był bardzo zaniepokojony.

Wiedziała, że kiedy powie mu prawdę, wszystko między nimi się zmieni. Nie miała jednak wyboru.

- Jestem... w ciąży.

W jego oczach, zamiast spodziewanej czułości, pojawił się gniew.

- Dawno o tym wiesz?

- Niedawno.

Shane ruszył ku drzwiom, lecz zatrzymał się gwałtownie.

- Przed lotniskiem?

Walcząc z kolejną falą nudności, Jenny zamknęła oczy.

- Tak.

- Miałaś zamiar, nie mówiąc mi o tym, wyjechać do Detroit?

Jenny też zaczynała być zła.

- Nie patrz tak na mnie! Zniknąłeś bez słowa. Co miałam myśleć? Zresztą nigdy nie powiedziałeś, że mnie kochasz, nie było między nami...

- Chcesz powiedzieć, że nie domyślałaś się, co do ciebie czuję? Myślisz, że z kimkolwiek przeżyłem to, co z tobą?

- Nie wiem. A tak było? Odpowiedziało jej głośne trzaśnięcie drzwiami.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jenny leżała pod kołdrą zwinięta w kłębek, kiedy usłyszała delikatne pukanie do drzwi.

- Idź sobie! - Nie była w nastroju do rozmowy, a tym bardziej do kłótni.

- To ja. - Do pokoju, trzymając tacę, weszła Savanna. - Przyniosłam ci termos z gorącą wodą, torebki z herbatą i paczkę krakersów. Do rana mogą ci się przydać. To straszne uczucie, co?

Jenny tylko kiwnęła głową.

- Nie musisz nic mówić. Dobrze to pamiętam. Domyślałam się, że powiedziałaś Shane'owi.

Jenny znów tylko skinęła głową.

- Boże, szkoda, że nie widziałas jego miny, kiedy wpadł do kuchni. Wiesz, kiedy już wyszło szydło z worka, wypaplałam wszystko Ryderowi. Był zachwycony. Powiedział że zawsze marzył, byś została jego szwagierką.

A więc Ryder jest dużo większym optymistą od niej.

- Czy Shane powiedział ci o naszej wczorajszej rozmowie?

- Nie zdążył. - Jenny z trudem wydobyła z siebie te dwa słowa.

- Kiedy już poszłaś do łóżka, zajrzał, żeby zobaczyć małego i gadaliśmy prawie godzinę.

- Naprawdę?

- Już rano chciałam ci o tym powiedzieć, ale Chris trochę marudził. Ryder i ja poprosiliśmy Shane'a, aby został ojcem chrzestnym, a ty... Uwaga! Uwaga! Będiesz chrzestną matką.

- Cudownie, kochana.

- Gdy mówiliśmy o imieniu małego, nagle rozmowa zeszła na Christinę. I Shane powiedział, co teraz czuje do swojej matki.

- Co?

- Stara się ją zrozumieć, a przede wszystkim jej wybaczyć. Zresztą Ryder też uważa, że nie powinno się osądzać swoich rodziców. Kiedyś surowo ich potępiał za to, że gdzieś zatracili swą miłość.

Jenny uznała to za ważną wskazówkę. Przecież sama wciąż pozostawała w ogromnym konflikcie ze swoimi zmarłymi rodzicami.

- A ty się nie martw - mówiła dalej Savanna - już Ryder porozmawia o tobie z Shane'em. To bardzo wybuchowy facet, ale pamiętaj, że jest taki, bo cię kocha. A teraz postaraj się zasnąć. Zobaczysz, jutro będzie lepiej.

Jutro będzie lepiej? Oby! Proszę cię, Boże.

Jenny obudziła się wczesnym rankiem, ostrożnie wstała i zjadła herbatnika. Czuła się dużo lepiej. Nudności, na szczęście, nie wróciły.

Wzięła długi, gorący prysznic i włożyła dzinsy. Ubierała właśnie bluzkę, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - zawołała, pewna, że to Savanna.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła stojącego w drzwiach Shane'a. Był nie ogolony i niewyspany.

- Lepiej się dziś czujesz? - spytał.

- Ja owszem, ale tobie wyraźnie się pogorszyło. Próbowала zachować spokój, lecz nie umiała powstrzymać się od kąśliwej uwagi.

- Aż tak ze mną źle?

Dopiero wtedy, kiedy się uśmiechnął, wyciągnęła do niego rękę. A więc może jeszcze nie wszystko stracone? Poprowadziła go do łóżka, usiedli obok siebie i równocześnie głośno westchnęli.

- Udawajmy, że wczoraj nic się nie stało - zaczął. - Choć przez kilka minut, dobrze?

Zaczekał, aż Jenny kiwnie głową, potem ujął jej ręce w swoje dłonie i mówił dalej:

- Przepraszam, że nie powiedziałem ci tego dużo wcześniej. Kocham cię, Jenny... całym sercem.

Zamknęła oczy i powtórzyła w myślach jego słowa.

- Wyjdiesz za mnie?

Tak długo czekała na tę chwilę, że teraz nie wierzyła własnym uszom.

- Czy mógłbyś powtórzyć to pytanie?

- Czy... wyjdiesz... za... mnie? - wyskandował ze śmiechem.

- Czy jesteś zakochany we mnie po uszy? Czy też robisz to tylko dlatego...

Nie dokończyła, bowiem Shane porwał ją w objęcia.

- Już dawno wiedziałaś, co czuję. Nie musiałem ci tego mówić.

Naprawdę mu uwierzyła, lecz wciąż pamiętała dawne wątpliwości.

- Owszem, musiałeś, bo chciałam to usłyszeć. Potrzebowałam tego.

- Dlaczego?

Jenny poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

- Bo... nie chciałam skończyć jak moja matka. Taka samotna i zgorzkniała... Pragnęłam, żebyś ożenił się ze mną z miłości, a nie tylko z powodu dziecka.

- Kocham cię, Jenny. Chyba pokochałem cię już pierwszego dnia naszej znajomości. Szkoda, że wtedy ci tego nie powiedziałem. Może w ogóle byś nie wyjeżdżała z Montany. Wciąż nie odpowiedziałaś na moje pytanie - przypomniał.

- A jak myślisz, kowboju?

- Nie wiem. Muszę to usłyszeć.

- Tak, tak, tak!

- Dobrze, dobrze. A zatem pozostaje nam określić czas i miejsce.

Jenny nie zastanawiała się zbyt długo.

- W wigilię Bożego Narodzenia, tutaj, w salonie przy choince i płonącym ogniu. W obecności ludzi, których kochamy.

- Tak szybko?

- Myślałam, że jesteś pewny?

- Jestem. Wydawało mi się tylko, że zechcesz poszukać odpowiedniej sukni i takich tam...

Jenny popatrzyła na Shane'a, jakby podejrzewała, że zwariował. Nagle wpadł jej do głowy pewien pomysł i od razu musiała się nim podzielić.

- Któregoś dnia babcia opowiedziała mi o swoim ślubie. Mówiła o sukni, którą sama uszyła. Wciąż trzyma ją w kufrze. Może mogłabym ją od niej pożyczyć? - Mówiąc to, wymyśliła coś jeszcze. - A może wzięlibyśmy ślub razem z Krukiem i Mary?... Jeśli Max się zgodzi.

Shane przez chwilę rozważał jej słowa.

- To mi się podoba - rzekł w końcu z uśmiechem. - Porozmawiam z ojcem. Jestem pewien, że i jego ucieszy ten pomysł, a Kruka na pewno. Zrobi wszystko, by sprawić przyjemność Mary.

- Wiesz, że czwórka ma dla Indian szczególne znaczenie? Czwarty stycznia byłby pewnie lepszy, ale dwudziesty czwarty grudnia też będzie dobry. Czy wiesz, że urodziłam się czwartego dnia czwartego miesiąca?

- Chyba mi o tym nie mówiłaś.

- Zapomniałaś, że babcia i ja odebrałyśmy małego Chrisa za cztery dwunasta czwartego grudnia?

- Znałem datę, ale nie godzinę. To ciekawe.

- I nie zdziw się, jeśli nasze małżeństwo urodzi się czwartego sierpnia.

- W dodatku może o czwartej czterdzieści cztery!

- A więc wierzysz, że babcia i ja mamy jakąś szczególną moc?

- Nigdy w to nie wątpiłem.

- Pomyśl, jakie to dziwne! Ty zawsze szanowałeś Indian, choć nie wiedziałeś, że płynie w tobie ich krew. Ja wiedziałam, że jestem w połowie Indianką i nie potrafiłam się z tym pogodzić. Ileż przeszliśmy w tak krótkim czasie!

- Wystarczyłoby na niejedno życie. - Shane pokiwał głową.